POLSKA WALCZĄCA

ŻOŁNIERZ POLSKI NA OBCZYŹNIE

FIGHTING POLAND — WEEKLY FOR THE POLISH FORCES — PRICE TWOPENCE

Wychodzi co tydzień | ***Dnia 3-go stycznia 1942r.*** | **Rok IV. Nr. 1**

NA NOWOROCZNYM PRZYSTANKU



Nie ma dla nas Nowego Roku. Nasz ostatni rok zaczął się 1 września 1939 roku i trwa i trwać będzie aż do tego Nowego Roku, który się zacznie od dnia zwycięskiego powrotu do Kraju.

Jednak i ten kalendarzowy rok ma, jak wszystkie zresztą rocznice swoje znaczenie. Pozwala nam przystanąć na chwilę przy słupie milowym, który oddziela jeden okres czasu od drugiego i spojrzeć w przeszłość. A po obrachunku z przeszłością obrócić oczy w przyszłość.

Z trudem zwracają się myśli nasze do przeszłości, do początków tego ponurego wrześniowego roku. Przeszłość ta to krew, cierpienie, głód. To śmierć tysięcy naszych najlepszych, to męka w obozach i więzieniach dziesiątek tysięcy, to trwoga milionów przed ciągle grożącymi okrucieństwami wroga.

TRZY ŚWIATŁA

Ale jednak na tym ponurym tle tym silniej jaśnieją polskie cnoty, które nam dają wiarę w odrodzenie narodu. Są nimi miłość Ojczyzny—i zdolność do ofiary.

Mamy różne wady i błędy. Ale tak płomienną miłość swej ziemi, swego kraju—nie wiem, czy gdzie na świecie znajdziemy.

Wychodzą gdzieś nagle polscy żołnierze z zapadłych wsi polskich lub z puszcz brazylijskich, uciekają z obozów niemieckich, i idą, jak w bajce przez siedem gór, siedem rzek i na prawdę przez siedem nieraz granic, aby swoje życie ofiarować do walki z wrogiem.

Nie ma prawie żołnierza polskiego, którego przejścia nie byłyby epopeją, a wielu jest takich, których młode życie swą grozą i tragizmem urąga wszystkim dreszczom filmowym.

I któż to są ci żołnierze polscy. Ci, którym Niemcy wmówili bajkę o ciemnych chłopach w jarzmie polskich *landlordów* jęczących—mogliby się tym żołnierzom przypatrzeć. Są wśród nich i *landlordowie*, ale często wśród prostych żołnierzy i pod rozkazami nie *landlordów*, ale często polskich chłopów, bo główna siła wojska polskiego to polski lud.

Takie, jakie jest uwarstwienie społeczne polskie, takie jest uwarstwienie wojska. Dwie trzecie—chłopi.

I dokonało się to, co nie mogło się niestety dokonać w naszych powstaniach, że do walki wystąpiła nie jedna warstwa narodu, ale cały naród.

Zaczęło się to już w roku 1920—był to pierwszy egzamin na wielką skalę powstania ludowego, ale jeszcze jakby nieśmiały, jeszcze trzeba było zachęty, obietnic, gwarancji przywódców politycznych, lecz w tej nowej wojnie pokolenie nowe już było tak stopione z Polską, że bez wahania od razu krew swą ofiarną Polsce oddało i nie pytało się, co mu Polska da za to i nie skarżyło się, że mu Polska dotąd nic nie dała.

Te trzy jasne światła—to nasza nadzieja. Miłość Ojczyzny, zdolność do ofiar i połączenie całego narodu w obronie wolności i niepodległości.

NIESPEŁNIONE OBOWIĄZKI

Jedna tylko myśl ten jasny obraz zaciemnia. Wielka ofiarność polska nie była należycie wyzyskana, przygotowanie nasze było niższe od naszych możliwości, dlatego tyle bezcennej krwi przelało się daremnie.

Chwalcy dnia wczorajszego pocieszają się porównaniami: Patrzcie, gdzie indziej było jeszcze gorzej. Jest to najgorsza pociecha — porównywać się z kimś gorszym od siebie. Prowadzi to do upadku—i zawsze się ten upadek usprawiedliwi, bo zawsze może się znaleźć ktoś gorszy lub za gorszego uznany.

A jeśli się już robi porównanie, to trzeba pamiętać o tym, że takiego materiału ludzkiego jak Polacy—nikt nie miał z tych, co tak bez oporu poszli pod jarzmo. Więc ich upadek łatwiej zrozumiały. I jeśli się wołało: „Polska jest mocarstwem" — nie należy potym szukać równania w dół.

O tym trzeba jeszcze kiedyś w przyszłości pomówić, jeśli bowiem nie wolno szafować pieniędzmi cudzymi, to tym mniej wolno to robić z życiem ludzkim i życiem narodu. Za niespełnione obowiązki trzeba odpowiadać.

Przedtym jednak trzeba wyciągnąć z tego naukę. Tą nauką będzie postanowienie nasze stanowcze i niezłomne, że nie może się powtórnie otworzyć przepaść, jaka istniała w Polsce między rządem a narodem. Rząd musi wyjść z narodu, a naród musi mieć prawo go kontrolować. Jeśli naród zdał w tej wojnie egzamin—czemu nikt nie zaprzeczy—i codziennie go składa, a rząd takiego egzaminu nie zdał, to trzeba i musi się naród dopuścić do rządów. Nie w imię jakichś abstrakcyjnych haseł, ale w imię tego na co naród zasłużył swoją myślą polityczną—do głosu niedopuszczaną i swoją ofiarnością.

Narody straciły zaufanie do autorytetów przez swe rządy. Naród wierzy w siebie i chce się sam rządzić. Trzeba jednak, aby ci, którym rządy będą powierzone byli tego warci. Czytaliśmy piękny list socjalisty Szczyrka, który wołał o przyszłą Polskę, rządzoną przez ludzi charakteru i rozumu, nie przez demagogię partyjną. Gdybyż to hasło mogło się przyjąć!

Aby to ułatwić musi być zabroniony wybór do parlamentu polskiego ludzi, którzy prócz wieców i gwałtownych na nich przemówień nic więcej za sobą nie mają. Przedstawicielstwo w sejmie powinno być najwyższą instancją w pracy społeczno-politycznej. Kto się tam chce dostać, musi przejść pewien stage społeczny, musi już coś zdziałać dla społeczeństwa, aby wybór jego nie był loterią, lecz pewnikiem opartym na poznaniu jego pracy, charakteru, wiedzy i zasług. Tylko tacy będą przedstawiać tę najczynniejszą i najlepszą część narodu, a nie jakiś młynarz językowy, na wiecach wyrosły.

ZANIM DOJDZIEMY DO POLSKI . . .

Zanim to nastąpi, zanim dojdziemy do Polski czeka nas jeszcze droga długa i żmudna. Do tego przyjścia musimy się przygotowywać bez przerwy.

Nie możemy pouczać żołnierzy naszych, którzy się biją w powietrzu, na morzu i na lądzie, bo oni spełniają w najlepszy sposób swój obowiązek.

Nie możemy dawać wskazówek tym, którzy są w niewoli, czy u wrogów, czy we własnej ojczyźnie przez wroga więzieni; to raczej oni mogą być dla nas przykładem, jak trzeba los swój znosić.

Ale my, my tutaj w tym kraju, który obecnie daje największy spokój na świecie płomieniem objętym, my mamy największe możliwości od największej, bo od bohaterstwa, aż do najmniejszej—do nauki języka angielskiego.

Na co kogo stać, to zdobywać musi, aby jak najbardziej wzmocnił swe siły, fizyczne czy umysłowe i z nimi przyjechał do Polski, aby tam jej służyć.

Ci, którzy proszą, aby ich "użyć"—są zwykle nie do użycia. Ten, kto jest do użycia, znajdzie sam sposób. Znam adwokata, niezdolnego do wojska, więc służy w marynarce handlowej; znam wielkiego dyrektora banku, który zaczął od biletingu, tam nauczył się angielskiego i znalazł pracę w biurach angielskich, znam żołnierzy, którzy w Szkocji potrafili napisać pracę naukową. A iluż nauczyło się tak po angielsku, że to będzie cennym nabytkiem w ich życiu. Biada tym, co czekają w bezczynności duchowej, lub fizycznej.

Biedni są ci, którzy zapominają o wszystkim a pamiętają o sobie, bo oni będą zapomniani, biedni ci, co narzekają, bo jakże małymi są ich sklamrzenia wobec grobów, ruin i nieszczęść Polski.

Zagłuszcie te głosy, podnieście głowy, wy, którzy przez trudy i niebezpieczeństwa dostaliście się tutaj, bo jesteście częścią epopei polskiej, choćby wam nic więcej zrobić nie było dane, podnieście głowy, wy, którzy narzekacie na bezczynność, bo nie wiecie dnia ani godziny, kiedy się to zmieni a narzekaniem zatruwacie swoją wolę; podnieście się wy, którzy chcecie, aby was zawsze ktoś za rękę prowadził i uczcie się myśleć i działać sami.

Patrzcie na tych co codzień śmierci zaglądają w oczy w powietrzu, na wodach i pustyni, a przede wszystkim pomyślmy o tych, co ofiarą życia swój krwawy dług Ojczyźnie spłacili i już się skarżyć nie mogą, a wtedy zaczniemy w dalszym ciągu naszej polskiej wędrówki od słupa milowego, na którym jest wpisane: rok 1942 "*żyć tak, jakbyśmy mieli umrzeć jutro a pracować tak, jakbyśmy mieli żyć wiecznie.*"

ST. SZ.

*ZIELONE JEZIORA**

Kiedyż uderzą w Wilno dzwony
Z Jezior Zielonych? Wstrząsną mury?
Księżyc na tafli śpi zeszklonej,
Dzwonnik podwodny trzyma sznury.

Na dnie strącone leżą skarby,
Napoleońskie złote skrzynie,
Szyldwach na wodzie stanął twardej,
Smugą księżyca w niebo płynie.

Śpi dawny romans i ballada
I tylko szepcąc w ucho czasem,
Podanie gminne opowiada,
Że znowu pójdą borem, lasem.

Że słychać, słychać co raz bliżej
Za węgłem domu, Boże Święty,
Drogą drewnianych polnych krzyży
Kroki nieziemskie i tętenty.

Sprzyjała ziemia ta pochodom
I drogi te już dawno przedtem
Wiodły przechodniów jak dziś wiodą
Klechdę błądzącą nocnym szeptem.

Sędziwe jeszcze pomną dęby,
Jak kiedyś wieść tu szła szalona,
Jak słychać kiedyś było tędy
Cesarski krok Napoleona.

Od tego czasu na dnie leży
Złocisty miecz i tarcza srebrna,
Czekają w skrzyniach na żołnierzy
Skarby największe: broń potrzebna.

I odtąd dzwon podwodny czeka,
By w ciszę śpiącą nadmogilnie
Uderzyć krzykiem i z daleka
Spiskowców pozwoływać w Wilnie.

Wtedy powróci, z bronią wstanie
I pieśnią się potoczy swojską,
Przez klechdę gminną i podanie,
Na polskiej drodze polskie wojsko.

Przemija noc. Podwodne dzwony
Odchodzą w topiel co raz głębiej.
Zakwilił pierwszy ptak zbudzony
W sośnie wysokiej, w starym dębie.

Przemija noc i drży powieką,
Z tafli się blask uroczy starł już,
Nad światem stoi, wiernie czeka
Księżyc, wileński emisariusz.

* Miejscowość podwileńska, z którą związane są legendy, stanowiące motyw. tego wiersza (przyp. Red.)

WIECZÓR NOWOJORSKI

W kanjonach ulic nie przeczujesz słońca,
Dopiero w parku, w samym środku miasta,
Ogromne niebo i przestrzeń bez końca
Z wszystkich stron nagle przed tobą wyrasta.

I już nie idziesz, lecz płyniesz w przestrzeni,
Wolnym obszarem w gasnącym błękicie,
I zanim dzień się wieczornie ocieni
Tak śnisz na jawie i myślisz ukrycie:

Jeśli tu czwarta, tam jest już dziewiąta,
I pułap jeśli tak samo wysoki,
A wiatr pomyślny im drogę uprząta,
Lekko się z ziemi poderwą w obłoki.

W tym samym czasie, lecz w innej godzinie,
Wyższy nad lęki, zaklęcia i gusła,
Startuje pewnie z lotniska w Londynie
Nasz uśmiechnięty przyjaciel, Bogusław.

Wyższy o jedną tę noc ponad wszystko,
Gdy tu powoli rozsnuwa się wieczór,
On leci w ciemność, w śmiertelne igrzysko—
Ani nie spojrzał, nie wspomniał, nie przeczuł.

Jak to powiedzieć, że teraz, gdy wzrokiem
Po obcym świecie toczymy zdumieni,
Ogromną pustkę na niebie wysokiem
On nam zaludnia, niewidny w przestrzeni.

Dźwiga nas, niesie—i w mgle zadumania,
Jak z chmur, w odległym coś woła szeleście . . .

— — — — — — — — — — —

Błysnęły światła, New York nas pochłania,
Najsamotniejszych w tym największym mieście.

KAZIMIERZ WIERZYŃSKI

Szkic sytuacyjny

CHURCHILL W U.S.A.

Pobyt Churchilla w Stanach Zjednoczonych — drugi z kolei w ciągu b.r.—jest zdarzeniem o olbrzymim znaczeniu. To, że premier Wielkiej Brytanii wygłasza przemówienie w Kongresie amerykańskim jest faktem doniosłym: przemówienie Churchilla nie było bowiem zdawkowe—na takie nie potrafi się on zdobyć, gdyż jest mówcą zbyt rasowym—ale oświadczeniem bardzo daleko idącym.

Churchill powiedział kilka dobitnych prawd, *nie zataił niczego z błędów przeszłości, powagi teraźniejszości i odpowiedzialności wobec przyszłości.* Zaznaczył, że odsunięcie się Stanów Zjednoczonych od Europy po wojnie ostatniej przyniosło iście żałosne skutki i że wojna obecna jest w dużej mierze wynikiem rozejścia się dróg Ameryki i Europy po wojnie 1914-1918. Premier Wielkiej Brytanii dał do zrozumienia, że czekają nas jeszcze ciężkie przeprawy i chwile napewno niemiłe.

W tej mierze Churchill jest wierny swojej tradycji, która polega *na uczciwym mówieniu prawdy i niemalowaniu zbyt różowych obrazów.* Premier brytyjski przypuszcza, że r. 1942 zejdzie nam na pasowaniu się powolnym i mozolnym, którego cechą naczelną będzie wyczerpywanie sił przeciwnika, rozciąganie frontu, rozwadnianie energii niemieckiej. Churchill jest zdania, że zasoby materialne armii niemieckiej są dalej poważne i że przeciwnik będzie musiał otrzymać jeszcze *liczne i bolesne ciosy zanim poczuje, że nastała dla niego era niepowodzeń.* Premier brytyjski przewiduje przejęcie inicjatywy przez sprzymierzonych *dopiero na rok* 1943. Wynikało by z tego, że r. 1944 będzie dopiero rokiem, w którym przeważą się szale i pojawi się widmo klęski niemieckiej.

Wierny swojej zdrowej tradycji mówienia prawdy Churchill przedstawia po męsku i otwarcie konieczności, jakie narzucają się na czas po wojnie. Uważa on, że ścisła współpraca Anglii ze Stanami Zjednoczonymi jest rzeczą nieodzowną i że odbudowa świata jest zależna całkowicie od tej właśnie współpracy. Tym samym przewiduje on połączenie się sił obu największych mocarstw świata, *spójnię narodów anglosaskich.*

Tego rodzaju stanowisko jest czymś oczywistym i zrozumiałym u Churchilla, w którym stary i czcigodny ród angielski połączył się z młodą krwią amerykańską. Churchill *jest wyrazem tego połączenia starych i nowych sił,* jest właśnie tym pełnym rozmachu człowiekiem Nowego Świata, który czerpie z gleby angielskiej wszelkie pożywne soki.

W czasie wojny ostatniej Churchill był pionierem współpracy z U.S.A., wierzył, że połączenie sił obu mocarstw może dać najlepsze wyniki na polu walki i na polu pracy pokojowej. Dzisiaj Churchill stoi niejako *u mety swoich pragnień i wysiłków*: unia Wielkiej Brytanii i Stanów Zjednoczonych jest bliższa niż kiedykolwiek, sztaby obu mocarstw opracowują plan działań wojennych na największą skalę, jaką sobie można wyobrazić. Oba państwa podejmą wspólnie trud obrony Dalekiego Wschodu, sięgną napewno ku Afryce, będą musiały zająć stanowisko wobec Ameryki Południowej.

W ten sposób współpraca anglo-amerykańska zapowiada się owocnie i twórczo na dzisiaj i na jutro. Jest to olbrzymiej, historycznej doniosłości wydarzenie. *Polityka zagraniczna wszystkich sprzymierzeńców musi wysnuć z tego stanu rzeczy konsekwencje.* Waszyngton zmienia się dzisiaj w centralę światową, gdzie będą decydować się rzeczy najważniejsze. Tam winna działać najpełniej dyplomacja sprzymierzonych, ich propaganda.

Stany Zjednoczone wysuwają się *na pierwsze miejsce w polityce światowej.*

FRONT WSCHODNI, EDEN W MOSKWIE

Minister spraw zagranicznych Wielkiej Brytanii Anthony Eden prowadzi rozmowy w Moskwie, przy czym wyniki tych narad uznały obie strony za zadowalające. Eden przypuszczalnie *stawia na jeszcze mocniejszych podstawach porozumienie sowiecko-angielskie,* dowiaduje się, jakie jest stanowisko *Rosji wobec Japonii*—ma ono niebylejakie znaczenie dla przyszłych operacyj—przygotowuje drogę dla pełniejszego porozumienia Waszyngtonu z Moskwą, a zapewne *bada ustosunkowanie się Moskwy do Chin marszałka Czang-kaj-szeka.*

Rosjanie idą dalej, krok za krokiem, Niemcy ustępują. Groźba wobec Leningradu i w stosunku do Moskwy została zażegnana. Komunikaty sowieckie, powściągliwe w treści, dowodzą, że *dowództwo sowieckie przygotowało starannie swoje poczynania* i że ma w odwodzie znaczne ilości sprzętu.

W danej chwili trudno powiedzieć na jakiej linii Niemcy zamierzają się oprzeć i ustalić. Jeżeli wojska sowieckie podsuną się pod *Smoleńsk,* to wówczas pojawia się widmo zupełnej porażki armii niemieckiej. Front południowy dalej jeszcze nie wykazuje skłonności do cofania się, ale działania na Krymie zostały zahamowane /Sebastopol trzyma się/, planowany skok na Kaukaz nie realizuje się. W tych warunkach nie widać, ażeby armie niemieckie mogły posunąć się dalej na południu, i odciążyć cofające się dywizje na północy.

Co raz więcej czynników wskazuje na to, że *klimat zaskoczył armię niemiecką* i że człowiek nie potrafił pokonać przeciwieństw klimatu. Techniczna przewaga niemiecka nie umiała sobie poradzić z terenem, zimą, brakiem dowozu. *Człowiek zawiódł i zawieść musiał, albowiem nie można go nałamywać dowolnie.*

DZIAŁANIA W LIBII

Na obszarze Libii wojska brytyjskie posuwają się dalej na przód. Nawet jeżeli prawdą jest, że gen. Rommel otrzymał posiłki przez Trypolis, to jednak wątpić należy, czy to go uratuje. *Taktyka angielska jest obecnie zarówno ostrożna jak oszczędna.* Operacje libijskie potrwają jeszcze tygodnie a nic niewiadomo na razie, jaką formę odpowiedzi wybierze Berlin.

Czy istotnie Hitler pójdzie "na całego" i skoczy przez Hiszpanię do Afryki? Czy nie zaryzykuje wszystkiego i nie przejdzie do kontr-ataku w basenie Morza Śródziemnego drogami mu dostępnymi a zatem—*lądowymi?*

NACZELNY WÓDZ ARMII W POLU

Przejęcie przez samego Hitlera naczelnego dowództwa armii w polu jest wydarzeniem dużej wagi. Dopiero po *jakimś czasie będzie się można przekonać, jakie praktyczne znaczenie ma to przesunięcie.* Wydaje się, że Hitler nie tylko dokonuje ostatniego niejako dopełnienia, jeżeli chodzi o "napoleonizm" swojej kariery, ale pragnie zakląć niejako armię niemiecką ,ażeby nie traciła wiary w zwycięstwo. *Rzuca on na szalę swój cały prestiż, zaufanie,* jakie niewątpliwie żywi do niego duża część społeczeństwa niemieckiego. Społeczeństwo to bowiem wierzy ślepo, że "niewiadomo jak mamy wygrać, ale Hitler to już jakoś zrobi."

Należy spodziewać się po przesunięciu w Rzeszy *nader awanturniczych poczynań.* Hitler, nie posiadając dzisiaj już żadnych hamulców, ani żadnego czynnika doradczego, będzie ulegał pokusie puszczania się na przedsięwzięcia nader ryzykowne. Nie wiemy, jakie plany i zamiary knuje on na okres zimy—dopiero bowiem na lato 1942 obiecuje dalsze pchnięcie w Rosji, ale sądzić trzeba, że Hitler *nie pozostanie bezczynny do lata przyszłego roku.*

STRASZAK JAPOŃSKI

Jest wcale oczywiste, że Rzesza pokłada ogromne nadzieje w straszaku japońskim. Berlin uważa, że Japonia może odegrać wielką rolę w porażeniu ośrodków zarówno Wielkiej Brytanii, jak U.S.A. Utrata Hong-Kongu, zagrożenie Singapore od strony Sumatry, postępy, jakie czyni armia japońska na Filipinach—wszystko to cieszy Berlin.

Ale te wstępne sukcesy japońskie—trwać one mogą jeszcze parę miesięcy, zanim inicjatywa w strefie Oceanu Spokojnego nie przejdzie w ręce sprzymierzonych—*napewno nie sparaliżują energii obu mocarstw.* Anglia zabrała się ostro do czyszczenia własnego podwórka i usunęła dowódców winnych zaniedbań. Jeszcze drastyczniej wzięła się do tego Ameryka. Floty wojenne obu mocarstw, chociaż poniosły straty w pierwszych rundach przejdą niebawem do silniejszej kontr-akcji. Filipiny otrzymają pomoc, flota holenderska krząta się po morzu, okręty podwodne U.S.A. pojawią się napewno na szlakach Oceanu Spokojnego.

Należy przetrzymać te wstępne miesiące, które wywołują zamieszanie, dowodzą, że pogotowie było niedostateczne, że istnieją braki w lotnictwie, że punkty, które miały być nie do zdobycia, padły wcale łatwo. Ciosy jakie zadano Imperium Brytyjskiemu i U.S.A. są napewno poważne, ale liczyć się trzeba, że właśnie takie uderzenia sprawią, *iż energia, wola i zawziętość tych państw zostaną postawione na nogi* i że zwłaszcza Amerykanie przejdą do odparowania ciosów szybko i energicznie.

Daleki Wschód dalej jeszcze będzie przedmiotem porażek. Churchill przygotował nas na porażki w tej strefie, albowiem pogotowie nie jest zupełne, obszary olbrzymie, *obrona tych przestrzeni pustych i łatwych do lądowania*—co to, proszących się niejako o lądowanie — *niemalże niemożliwa.*

Są to zadania nowe, zadania jakich jeszcze nie potrafi się rozwiązać: wojna desantowa i spadochroniarska w dżungli, w ostępach, wojna dzika, w której armia japońska zdecydowana na wszystko, ofiarna, armia, która żyje byle czym i nie liczy się z materiałem ludzkim, *będzie musiała uzyskać pewne wstępne zwycięstwa.*

Dopiero w chwili, gdy lotnictwo sprzymierzonych na Dalekim Wschodzie przejdzie do przeciwnatarcia, kiedy okręty wojenne będą mogły zagrozić japońskim liniom komunikacji, kiedy okręty podwodne sojuszników pojawią się liczniej na szlakach—wtedy dopiero Japonia poczuje nacisk siły aliantów.

Nowy Rok zaczyna się zatem pod hasłem trzech wielkich frontów: wschodniego, afrykańskiego i dalekowschodniego. Ciekawe, gdzie przybędzie front czwarty.

Londyn, 29 grudnia 1941.

ZBIGNIEW GRABOWSKI

Pomoc dla Polaków w Rosji

Otrzymaliśmy następujące listy:

Szanowny Panie Redaktorze.

Pismo Pana pierwsze podniosło sprawę pomocy Polakom w Rosji i bezustannie nawołuje do wzmożenia wysiłków w tym kierunku, dlatego też do Pana zwracam się z prośbą o zamieszczenie kilku poniższych uwag:

Uratowanie wielkich mas żywiołu polskiego w Rosji, o którego postawie moralnej napływają zgodne relacje entuzjastyczne, wysuwa się na czoło polskich zagadnień. Otwarły się możliwości nie tylko utworzenia potężnej armii, ale również uratowania kilkuset tysięcy ludności cywilnej, materiału o wysokiej wartości narodowej, wypróbowanego strasznymi przejściami. Mamy dowody, że Rząd większość wysiłków poświęca tej grupie Polaków. Na równie wielki wysiłek powinno zdobyć się społeczeństwo polskie w W. Brytanii, znajdujące się w wyjątkowo uprzywilejowanych warunkach zarówno w stosunku do kraju, jak i wygnańców rosyjskich.

Wiemy, że Armia nasza żywiołową ofiarnością odpowiedziała na apel o pomoc, że napłynęły liczne dary w naturze i gotówce, że w zbiórkach wzięły udział liczne grupy przyjaciół szkockich z oddziałami T-wa Szkocko-Polskiego na czele, nie oznacza to jednak, że wyczerpane zostały wszelkie drogi i środki. Wielkie potrzeby wymagają nadzwyczajnych wysiłków, tak propagandowych, jak i organizacyjnych. Nie wystarcza moim zdaniem ofiarna praca Polskiego Czerwonego Krzyża, który ma szereg pilnych prac i małej komórki przy Ambasadzie, uzgadniającej wysiłki. Należy powołać do życia Komitet Pomocy Polakom w Rosji, któryby zwielokrotnił wysiłki i wciągnął do zgodnej pracy, tak zwolenników, jak i przeciwników paktu.

Nie wątpię, że błyskotliwe pióra Mackiewiczów znacznie więcej przysłużą się Polsce Niepodległej, prowadząc akcję zbiórkową, niż analizując "coby było, gdyby"; więcej wartości mieć będzie p o z y t y w n e wypisanie adresu na paczce do Rosji, niż n e g a t y w n y "Kalendarz", upakarzający nas co miesiąc. Jest tylu bezrobotnych (na razie) członków Rady,—jakże znakomitą mogliby wykonać pracę!

Akcja ta nie godzi ani w interesy, ani w dobre imię naszego nowego sojusznika. Istnieje przecież szeroko zakrojony ruch zbiórkowy "Aid for Russia" pod przewodnictwem małżonki Premiera Churchilla, nie wątpię, że możliwa jest również oficjalna akcja pomocy dla Polaków w Rosji, jako elementu, na który W. Brytania liczyć może w 100 procentach, jak wykazały nie tylko stulecia, ale i dzieje tej wojny. Możliwości zbiórkowe są ogromne, potrzeba tylko: więcej ludzi do pracy, zapału i sprawnej, temu tylko celowi oddanej organizacji.

Antoni Mamrot

P.S.—Uznajac zawsze potrzebę łączenia "dobrych rad" z równoległym im czynem deklaruję na cele pomocy dla Polaków w Rosji należne od *Polski Walczącej* wierszowe tak wstecz, jak również, jeśli Pan Redaktor dopuszcza tę formę "zaliczki"—również i w przyszłości.



Projekt afisza pomysłu Ludwika Wiecheckiego otrzymany z Z.S.R.R.

Oni chcą przetrwać—my im pomóżmy, aby mogli przetrwać!

* * *

Londyn, dnia 23 grudnia 1941 r.
Redakcja "Polski Walczącej"
w miejscu.

Zamiast życzeń świątecznych pozwalam sobie przesłać na ręce Szanownej Redakcji 3 funty na rzecz zesłańców syberyjskich.

Z wyrazami uszanowania.

Tadeusz Malinowski

* * *

17 grudnia 1941 r.

Zamiast rozsyłania życzeń świątecznych i noworocznych pozwalam sobie przesłać na ręce Redakcji kwotę £2 na pomoc dla Polaków w Rosji.

Z. Borkowski.

* * *

Szef Gabinetu Naczelnego Wodza
i Ministra Spraw Wojskowych
Londyn, dnia 23 grudnia 1941 r.

W załączeniu przesyłam kwotę £4 (cztery) na pomoc dla Polaków w Rosji, zebraną przez oficerów i personel Gabinetu Naczelnego Wodza i Ministra Spraw Wojskowych w miejsce życzeń świątecznych i noworocznych.

Szef Gabinetu Naczelnego Wodza
i Ministra Spraw Wojskowych

* * *

Szanowny Panie Redaktorze,

Szef Sl. Sam. N. W. oraz oficerowie-instruktorzy i uczniowie-szeregowi kursu mechaników sprzętu samochodowego w Anglii, z a m i a s t p o l e p s z e n i a s o b i e ś w i ą t, p r z e s y ł a j ą 4Ł. 13 sh. 6 d. n a p o m o c P o l a k o m w R o s j i.

Łączę wyrazy pozdrowienia żołnierskiego

kpt. A.K.

* * *

Zaliczamy na Fundusz Pomocy dla Polaków w Rosji w imieniu p. Mamrota £1, 10. Ponadto na ten nadesłali do redakcji: p. Jerzy Grzmielewski £1, 0 0, podchr. W. R. 15 sh., st. strz. K. L. 5 sh., ppor, M.Z. 10 sh.

Łączną sumę: 17£ 13sh. 6d. przekazaliśmy Polskiemu Czerwonemu Krzyżowi

Gwiazda wigilijna

(urywek z pamiętnika lotnika)



23 grudnia, 1940.

Jutro wigilia. To znaczy—jutro byłaby wigilia.

A właśnie spadło trochę śniegu i te gołe pola pod Londynem przypominają krajobraz podwarszawski. Zabawne, jak na każdym kroku człowiek czepia się wszystkiego, co—"przypomina."

I zdawało się, że można nie pamiętać. Pragnąłem podróżować.—Podróżuję. Pragnąłem Wielkiej Przygody.—Mam Wielką Przygodę. Pragnąłem latać.—Latam.

Pragnąłem nie myśleć.—Muszę myśleć.

Nie ciągle, Bogu dzięki. Byleby latania było więcej. Tymczasem "sezon" skończył się już przed paroma miesiącami. Nieuprzejmie to życzyć angielskim gospodarzom niepokoju w powietrzu. Ale to najlepsza okazja, żeby nie myśleć tak intensywnie, żeby nie starczyło miejsca na tamte myśli.

Tak, jak wczoraj, kiedy poderwali cały squadron już prawie o zmroku. Za nami słońce krwawiło jeszcze z nad horyzontu, a przed nami różowiły się senne obłoki, jak fantastyczne gondole, płynące po sino-fiołkowej głębinie nieba. A kiedy wzbiliśmy się ponad nie, poszarzały nagle i rozpłynęły się wśród siwej mgły, bezpowrotne, zgasłe, jak westchnienie.

Wtedy zobaczyliśmy—tamtych. Byli już w odwrocie i rwali na pełnym gazie, pikując, żeby w wiszących niżej chmurach znaleść osłonę. Już pierwszy, drugi, trzeci wślizgnął się pod siny całun mgieł, ale zanim ostatni zdążył zbliżyć się do łatwej kryjówki—dopadła go nasza pierwsza dwójka.

Rozeszli się przed atakiem, jak gdyby chcąc go z boków zajść i zdusić własnymi skrzydłami, aż nagle zwrócili się ku niemu i jednocześnie ze skrzydeł ich wytrysły krótkie, wąskie smugi ognia, błyskające w zmroku, jak płomienne sztylety.

W tej samej chwili czarniawa sylwetka ściganego wybuchła w olbrzymi kłąb ognia i dymu. Niby potworna rakieta wzbił się jeszcze w przedśmiertnej drgawce wyżej, zatrząsł się i runął w dół, w chmury, poprzez które widać było jeszcze przez chwilę krwawą smugę płomieni.

Wracaliśmy przy gwiazdach. Na zachodnim niebie wiązały się jeszcze w przedziwnie zgodny taniec—żółtość z fioletem i seledyn z purpurą, za nami wisiał już granatowy całun, poprzybijany złotymi ćwiekami gwiazd do kopuły nieba. Na dalekiej, zamglonej ziemi kładły się gdzie niegdzie srebrne smugi reflektorów. I był taki spokój w powietrzu, że zdawało się, jakby silniki przestały grać, jakbyśmy sami, niby klucz żórawi, poprzez ciszę bezszelestnie szybowali.

I nie było w sercu gorzkich pamiątek, ni zawziętości, ani nienawiści. Było kojące, ciche zachwycenie i jakaś słodka tęsknota.

A teraz wicher wyje za oknami, właśnie tak samo, jak tam. I hydra pamiątek w sercu się budzi.

Jakie to smutne, że—dla nas—utrata bliskich nie kończy się na utracie tamtych w Polsce. Wciąż odchodzą ci, do których zdążyliśmy się przywiązać teraz, którzy stwarzali nam złudzenie, że nie jesteśmy sami.

Jacek, druh serdeczny, od miesiąca śpi na cmentarzu w Amesbury. Nie przeczuwałem, że tak nas zwiąże kilka miesięcy wspólnego latania. Razem rozpamiętując i opowiadając sobie na wzajem historie z tamtych czasów, zbudowaliśmy wspólny świat złudzeń, wspólne zacisze wspomnień, w którym przeżywaliśmy jeszcze raz to, co minęło.

I nagle po jakimś locie wszystko się urywa. Nie można sobie tego uświadomić początkowo. Początkowo nakłada się smutną minę, która nie wypowiada przeżycia straty, bo tego przeżycia nie ma; tylko ucho usłyszało o fakcie, którego świadomość jeszcze nie przeżyła. Dopiero nadchodzi wieczór i nagle w pokoju spostrzega się okrutną, dławiącą gardło pustkę.

Następnego ranka patrzałem na spisywanie pozostałych drobiazgów, pamiątek, gratów. Zwykłe zamknięcie rachunków nad jednym życiem ludzkim. Mimo woli zacząłem sobie wyobrażać podobne formalności w odniesieniu do mnie samego:—przychodzą obcy ludzie, grzebią w walizce, przeglądają papiery opisują każdy śmieć.

I nagle parsknąłem śmiechem: ich miny, kiedy odnajdą pudełko z kolekcją biletów tramwajowych i autobusowych!—Jakże im wytłumaczyć, że te bilety, zbierane dla małego Jędrka w Polsce do jego zabaw w konduktora,—to most, rozpaczliwie budowany, most między rzeczywistością a marzeniami przyszłości; że to bunt przeciw rachunkowi prawdopodobieństwa i sprytne zagadywanie losu . . .

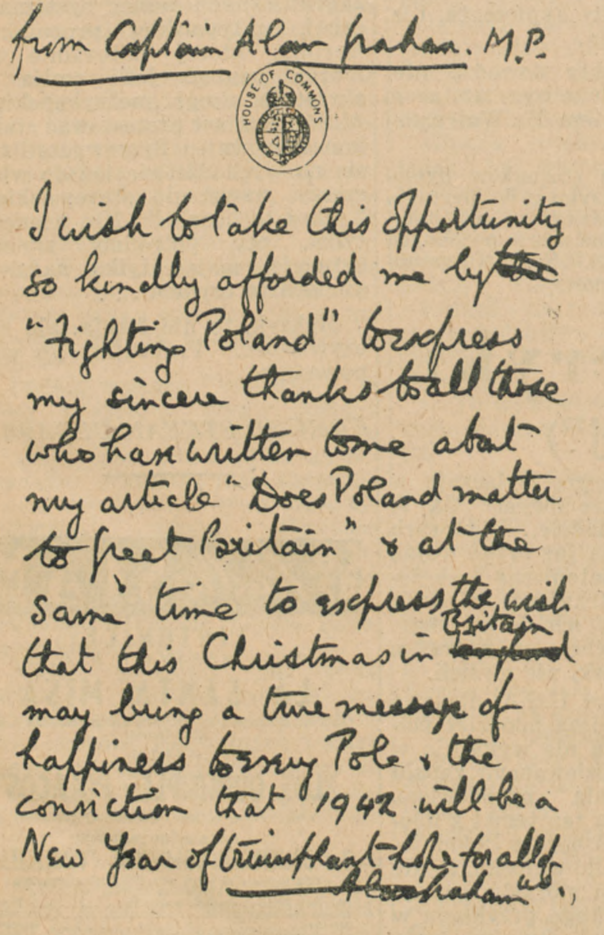
Czyżbym był tak słaby, że potrzebne mi są złudzenia i oszukiwanie samego siebie? Czy jestem starcem, grzebiącym za iskrami wspomnień w popiołach przeszłości? Czy teraźniejszość, najgorsza, jaka by być mogła, nie daje mi chwil radosnych?

Przyszłość?—chwile biadatliwej depresji nie zagłuszą mej wiary w przyszłość. Pókim żyw—wierzę w życie, kocham je, pracuję nad upiększeniem go, jestem z niego dumny.

Jutro, zanim zapali się gwiazda wigilijna, wylecę na jej spotkanie. Przebiję chmury, jeśli znajdą się na drodze, aż ujrzę nad sobą błękit czystego nieba. Zostawię na ziemi wszystek mój żal i gorycz, całą boleść wspomnień, wszystkie jady wojenne. Obrócę na wschód i tam, na granatowym bezbrzeżu przyszłości powitam gwiazdę wigilijną. Moją gwiazdę.

GUSTAW NIERAD

List od angielskiego przyjaciela



from Captain Alan Graham. M.P.

HOUSE OF COMMONS

I wish to take this opportunity so kindly afforded me by "Fighting Poland" to express my sincere thanks to all those who have written to me about my article "Does Poland matter to Great Britain" & at the same time to express the wish that this Christmas in Britain may bring a true message of happiness to every Pole & the conviction that 1942 will be a New Year of triumphant hope for all of us.

Alan Graham

Od członka Parlamentu Brytyjskiego kpt. Alana Grahama, którego artykuł drukowany w przekładzie w nr. 48 "Polski Walczącej" z ub. r. wzbudził tak szerokie, żywe i zasłużone zainteresowanie—otrzymaliśmy następujący list:

Przekład polski:

Pośpieszam skorzystać z tak mile użyczonej mi przez "Polskę Walczącą" sposobności, aby wyrazić szczere podziękowania tym wszystkim, którzy zwrócili się do mnie po moim artykule "Czy Polska obchodzi Wielką Brytanię."

Jednocześnie pragnę złożyć życzenie, aby ta gwiazdka w Wielkiej Brytanii stała się dla wszystkich Polaków prawdziwym zwiastowaniem szczęścia i dać wyraz głębokiemu przekonaniu, że rok 1942 będzie dla nas wszystkich Nowym Rokiem triumfalnego spełnienia się nadziei.

Alan Graham

W liście skierowanym jednocześnie do redaktora "Polski Walczącej" kpt. Graham przyrzeka dalszą współpracę w naszym piśmie: "Jestem świadomy—pisze tam—że nie możemy zrobić dość dużo dla Was, którzy straciliście wszystko i cierpicie tak bardzo dla naszej wspólnej sprawy."



rys. Tadeusz Lipski



linoryt Jerzego Faczyńskiego

ALARM POD BETLEJEMSKĄ GWIAZDĄ

Czegoś się Jezu doczekał.
Mój Boże, jasełkę zdjęto,
Nie będzie też nikt napewno,
pasterki kalikować w święto.

Nie będą dudniły organy,
tłum wiernych nie otrze kolana,
ani u "Świętej Anny"
ani u "Świętego Jana."

Nie będą spadać kolędy,
jako ptaszkowie śnieżni,
cmentarnie dziś w dniu wesela,
na chrystusowej bieżni.

Jak Chopin zadymka pruszy,
nie manna to, nie pomoże,
przykrywa plac Zbawiciela
i rzeszę spiętą obrożą.

Tłum nagi stoi spokojny.
Jarzą się oczy—bo z głodu.
Dziwnie jest tutaj dostojnie,
przejrzyście jak w kropli lodu.

Z ulic prowadzą wciąż nowych,
rzucają w tłum z głuchym świstem,
głos gruby zakaprawiony
komenderuje: wszystkich!

Złość dzika zatarła ręce,
zamracza ją dychawica.
Karabin trzeszczy przekleństwem,
echa rozrzuca w ulicach.

Weź Jezu chustę Warszawy,
otrzyj nią liczko Dziecino
i narodowy opłatek
przełam nad moją krainą.

Plac pusty. Śnieg już się krwawi
od wiązki trupów na ziemi,
wtem nagle, od strony Pragi,
wybiega łuna promieni.

Pęk złoty—skłon nawiedzenia,
kometa warkocz rozwleka
i rozstrzelane relikwie,
jasnością pieśni obleka.

Oprawców strach wyrżnął w mordy.
Was ist das? Alarm! Co? Nalot!?
Baterie kratkują niebo
i kłują ogniem na wylot.

Niebieską ciszę zimową,
na rogach szatan rozwłóczył
jak zwrotkę śpiewnej kolędy,
której się nigdy nie uczył.

Widzicie to światło!? Feuer!
Sehr gut, herr kapitanie!
Plunęła salwa jak zamieć,
zarepetowano zdanie.

Możecie strzelać do cudu.
W łeb palić bożej komecie.
Noc wiernie płonie sercami
a ona na tamtym świecie.

* * *

Ja Panie Boże nad tym płaczę,
żeś zakwitł nam na sianie,
bo jabym dał Ci nieprostacze
szatki i pomieszkanie.

Wybudowałbym Ci ze serca,
drewniane poematy,
mieszkałbyś w nich jak na kobiercach,
nosiłbyś-li brokaty.

Stawiłbym Tobie gród-fantazję,
ten epos, który noszę,
Ty miódbyś pijał, pił małmazję,
rozdawał kute brosze.

Dałbym Ci lamy, złotogłowia,
skór perły, posług krocie,
lecz Tybyś wtedy nie był Bogiem,
Tym narodzonym w grocie.

JERZY FACZYŃSKI

MODLITWA

Znów krew po polskiej płynie ziemi
I znów oczyma zmęczonemi
matka spogląda z niepokojem,
tuląc do piersi dziecko swoje.

Boga przyzywa, by ochronił
jej syna, Ten, co z swego tronu
spogląda z nieba i co liczy
każdą myśl ludzką, czyn człowieczy.

—Głębią serc naszych, dziś w pokorze,
błagamy, Ciebie Święty Boże,
Ty, który blaskiem łaski świecisz,
nie daj ukrzywdzić matek, dzieci.

Niech Twych aniołów skrzydła strzegą,
wśród gromów walki ich od złego.
I, Sprawiedliwy, odwróć od nich
kielich goryczy cudzych zbrodni.—

W. S. KŁODOWSKI

Meksyk a sprawa polska i demokracja walcząca

(Korespondencja własna "Polski Walczącej")

Mexico, D.F. w listopadzie

Republika Meksykańska była pierwszym z krajów Ameryki Łacińskiej, która nie uznała niemiecko - sowieckiej okupacji Polski, oraz utrzymuje nadal przyjazne stosunki dyplomatyczne z Rządem Polskim na uchodźstwie. Powzięcie tej decyzji przez Rząd Meksykański, poprzedziły fakty uprzedniego nieuznania przezeń: zaboru Austrii oraz zaboru Czecho-Słowacji, mimo że misje dyplomatyczne tychże krajów uznały za właściwe swe archiwa oddać poselstwu niemieckiemu w Meksyku.

Fakt dalszego uznawania władz Niepodległej Polski przez Państwo Azteków, nastąpił zaledwie w 24 godziny po podobnej deklaracji sąsiednich Stanów Zjednoczonych A.P. Dla nas przejaw ten nie może być obojętny. Swym szlachetnym przykładem bowiem Meksyk pociągnął za sobą, z kolei, całą Amerykę Łacińską, która mimo swej stosunkowo młodej tradycji politycznej, ale dzięki starej kulturze hiszpańskiej,* doskonale docenia sens życia niepodległego oraz wolności narodów.

Po Brazylii i Argentynie—Meksyk jest największym terytorialnie krajem Ameryki Łacińskiej i posiada około 2 miliony km. kwadr. a 20 milionów ludności. Ponieważ wymienione trzy kraje wyprzedzają tylko: Kanada i Stany Zjednoczone A.P., Meksyk zajmuje piąte z kolei miejsce w koncercie politycznym Nowego Świata. Państwo to odgrywa ważną rolę, zwłaszcza pod względem geopolitycznym i ludnościowym. Leżąc na skrzyżowaniu dróg między Ameryką Anglosaską a Ameryką Łacińską, Meksyk stanowi faktycznie wspólny przedpokój dla obydwu wielkich grup etnicznych. Z uwagi na wielkie zróżniczkowanie ras i kultur, które Meksyk terenem swym przedziela, sam niedawno, w prasie argentyńskiej nazwałem go "bramą Ameryki Łacińskiej."**

Historia Meksyku jest niezwykle ciekawa, jak rzadko którego kraju amerykańskiego. Jej cechą charakterystyczną jest, z jednej strony — wpływ rasowo-kulturalny Hiszpanii, z drugiej natomiast — przemożne, współczesne oddziaływanie gospodarcze Stanów Zjednoczonych A.P. Obydwa te czynniki wycisnęły też swoiste piętno na tajemniczym obliczu starożytnego Meksyku, który swego czasu był siedzibą wspaniałej kultury Mayów oraz później wojowniczych a okrutnych Azteków, podbitych z kolei mieczem i krzyżem konkwistadorów hiszpańskich.

Historycznym kalejdoskopem swych dziejów Meksyk przypomina nieco niektóre państwa europejskie, zwłaszcza Grecję i Finlandię, które przez szereg stuleci jęczały pod jarzmem niewoli. W ćwierć wieku po odkryciu Ameryki przez Kolumba, Meksyk podbijają Hiszpanie i jako swą kolonię, przezwą go "Nową Hiszpanią." Okupacja kolonialna kraju trwa ponad trzy stulecia, od XVI-go do XVIII-go włącznie. Podobnie jak inne kraje Ameryki Hiszpańskiej, Meksyk wywalcza sobie niepodległość w r. 1821. Meksykańskie walki niepodległościowe brawurą swą przypominają piękne karty podobnych, zbrojnych powstań Polski i Serbii.

Od 130 lat swej niepodległości po dzień dzisiejszy, Meksyk jest widownią gwałtownych przemian polityczno-społecznych, określanych także nazwą "rewolucji meksykańskiej," która obecnie stanowi raczej wyrażenie symboliczne. Cały ten czasokres charakteryzują liczne zamieszki wewnętrzne; nie brak w nim wszakże również szeregu wojen, prowadzonych w obronie własnej. Z pośród ważniejszych wymienić należy: inwazję amerykańską /1844-48/, w wyniku której Meksyk traci ponad trzecią część swego terytorium narodowego, tzw. "interwencję francuską" /1862-63/ marszałka Bazaine, który triumfalnie rozgramiał źle uzbrojonych metysów i indian, zato wsławił się kapitulacją przed Niemcami w r. 1870, stając się grabarzem monarchii francuskiej; czy wreszcie przez Napoleona III-go, gwałtem narzucone panowanie austriackiego arcyksięcia Maksymiliana /1864-67/, któremu roiła się już nawet federacja łacińsko-amerykańska pod berłem Habsburgów.

Wymienione fakty interwencyj zagranicznych, jak i różne rewolucje, wpłynęły naturalnie ujemnie na uporządkowanie zagadnień wewnętrzno-politycznych Meksyku. Wywarły one natomiast dodatni wpływ na uświadomienie narodowe i wolnościowe narodu meksykańskiego, utwierdzając w nim ducha bojowego i wysokie poczucie demokratyczne, tak właściwe naturze burzliwego południowca amerykańskiego.

Dzięki swoistym okolicznościom, współczesny ustrój państwowy Meksyku posiada wybitne cechy rządów prezydencjalnych, zbliżonych do pół-dyktatury, popularnej na ogół w Ameryce Środkowej i Południowej. Są to rządy autorytatywne, uważane za nieodzowny instrument dla ośrodków o niedorozwiniętej kulturze politycznej; odznaczają się jednak w polityce zagranicznej umiarem oraz prodemokratycznym nastawieniem wobec obecnego konfliktu europejskiego. Jest rzeczą charakterystyczną, że opinię rządu w tym kraju nie zawsze można utożsamiać z tzw. opinią publiczną, jakkolwiek jest ona jej oficjalnym rzecznikiem. Wyjaśniają to następujące fakty: *

O ile od czasu wybuchu drugiej Wojny Światowej opinia meksykańska była bardzo podzielona, o tyle obecnie, zauważyć można pocieszający zwrot na korzyść demokracji. Należy bowiem wiedzieć, że z uwagi na podobieństwo meksykańskiego ustroju społeczno-gospodarczego z systemem sowieckim, organizacje robotnicze oraz syndykaty zawodowe, sympatyzowały zawsze z komunizmem. Nie przeszkadzało to naturalnie, zorganizowanej od dawna, podziemnej i dobrze opłacanej propagandzie



Gen. Manuel Avila Camacho Prezydent Republiki Meksykańskiej

niemieckiej, wykorzystywać własnych atutów dla celów polityki totalitarnej. "Wodą na młyn" jej, był fakt półtorarocznej współpracy niemiecko-sowieckiej pod hasłem "nowego porządku" w Europie, również przyrodzony, rewolucyjny podziw meksykański dla wszelkiej akcji dokonywanej przemocą.

Kiedy jednak hasła nazistów zostaly brutalnie przekreślone inwazją niemiecką na Z.S.R.R., nawet mało uświadomione syndykaty meksykańskie przetarły oczy i odwróciły się od Hitlera, jakkolwiek czarny osad zgubnych wpływów poprzednich oraz pomieszanie pojęć o wyłącznie gospodarczych celach obecnej wojny, nie zniknęły zupełnie z rozmów ulicznych. W każdym razie, z zadowoleniem należy tu podkreślić fakt, prowadzonej ostatnio w Meksyku agitacji za rychłym przywróceniem stosunków dyplomatycznych z Rosją Sowiecką oraz Wielką Brytanią,** co jest wyraźnym zamanifestowaniem solidarności społeczeństwa meksykańskiego z Walczącą Demokracją.

W przeciwieństwie do tego, meksykańska polityka oficjalna, od samego wybuchu wojny, utrzymuje kurs wybitnie demokratyczny. Dowodem tego było stanowisko poprzedniego rządu Gen. Lazaro Cardenasa, zdecydowane nie uznać okupacji żadnego kraju, dokonanej gwałtem. Wyrazicielem tych poglądów był zdolny polityk, wiceminister Spraw Zagr. Dr. Ramon Beteta, który w swym przemówieniu z dn. 17 lipca 1940 r. zaznaczył m. i.: "Nieobojętne były Meksykowi losy ostatnich przeobrażeń w Europie, gdy mógł zwrócić oczy ku swej własnej historii, aby przekonać się, po której stronie leżało jego przeświadczenie i zainteresowanie." Dlatego też potępił on z kolei "podział Czechosłowacji, zniszczenie Polski, niewypowiedzianą wojnę Chinom, najazd na Finlandię, pogwałcenie terytoriów Danii i Norwegii, brak poszanowania neutralności Luksemburga, Belgii i Holandii, które są rozdziałami tej samej historii, natchnionej przez tę samą teorię i są wszystkie groźbami dla tego, który jako jedyne wyjście ma wybór między niepodległością i niewolą."

Podobne deklaracje prodemokratyczne złożył również obecny rząd Gen. Manuela Avila Camacho, przez usta tegoż Prezydenta, w jego orędziu do Narodu z dn. 1 września 1941. Oto ważniejsze zdania z jego exposé:

"Jeśli idzie o stanowisko Rządu w sprawach międzynarodowych, pragnę wskazać na przywilej, jaki Meksykowi przypadł w tych godzinach zamętu — przywilej podtrzymania i obrony postulatów równości i niezależności wszystkich narodów wolnych, co jest życiową zasadą naszej historii.

"Co się tyczy Europy, zachowujemy nadal poselstwa w Niemczech, Francji, Italii, Portugalii i Szwecji, lecz z rządami krajów napadniętych pozostajemy w kontakcie za pośrednictwem ich przedstawicieli, akredytowanych w tej stolicy, a którymi są ministrowie Norwegii i Polski oraz chargé d'affaires Belgii, Danii i Holandii. W ten sposób potwierdzone zostało nasze postanowienie nieuznawania, w żadnym wypadku podbojów dokonanych przy pomocy gwałtu". Podobny charakter mają wszelkie pociągnięcia meksykańskiego M.S.Z., które prowadzi świat̨ły dyplomata, Lic. Ezequiel Padilla.

Powyższe fakty dowodzą niezbicie, jak szlachetnym umiarem oraz zrozumieniem dla Walczącej Demokracji odznacza się Meksyk, który w ten sposób wyraźnie opowiada się po stronie Aliantów, udzielając im swego moralnego poparcia. Pod tym względem Meksyk jest przykładem dla Ameryki Łacińskiej, również w zakresie panamerykańskiej solidarności z U.S.A.

Taki jest oficjalny stosunek Meksyku i do Polski Walczącej. Jeśli chodzi o prasę meksykańską, wykazała ona dla naszej sprawy dużą sympatię, graniczącą z sensacyjną ciekawością, podobnie, jak do każdej nowej i nieznanej rzeczy. Później zainteresowanie nieco przycichło, bo nikt nie informował o Polsce, za wyjątkiem rozmaitych agencyj zagranicznych, działających zawsze według swego "widzimisię." Nie wiele też pomogło istnienie tutaj Poselstwa R.P., które otoczone przysłowiowym "murem chińskim", żyje po dziś dzień w zupełnym odcięciu od prasy oraz intelektualistów meksykańskich. Dlaczego, nie wiadomo. Po prostu opatrznościowo znalazło się i tutaj kilku obrońców naszej Ojczyzny, którzy rekrutują się z dziennikarzy-naukowców, otrzaskanych nieco ze sprawami europejskimi. Nazwiska ich brzmią: Mario Alessio Robles, Manuel Gonzalez Montesinos i Rafael Heliodoro Valle. Ich profesorskie artykuły są wszakże rzadkie.

Faktyczna zato propaganda polska z co raz wyraźniejszymi już rezultatami, prowadzona jest dzięki ofiarności indywidualnej dwóch, przebywających tu uchodźców. Jednego, który regularnie zasila pisma stołeczne artykułami, drugiego, który równoległą akcję prowadzi przy pomocy radia i Uniwersytetu meksykańskiego. Jako pozytywny przykład wskazać należy na pierwsze w historii Meksyku publikacje o Polsce, jakie się tu niedawno ukazały. Są to: Jana W. Zakrzewskiego "*Polonia en Armas*" i Edm. Stefana Urbańskiego "*Polonia y el Eqilibrio Europeo*"; ta ostatnia wydana własnym kosztem autora. Jest to na razie skromny początek na nieprzeoranym terenie Meksyku oraz 10 pobliskich republik łacińskich, należących do kompetencji tutejszej placówki dyplomatycznej.

Z tym wszystkim byłoby jeszcze pół biedy, gdyby nie chorobliwa wprost nieudolność naszych oficjalnych urzędników zagranicznych wobec systematycznej, antypolskiej propagandy Berlina, której naturalnie nie można usunąć jeśli omija się skrzętnie progi meksykańskiego M.S.Z. zamiast protestować stale i konsekwentnie. Przyzwyczailiśmy się na wychodźstwie już do wielu rzeczy, nawet do staropolskiego "jakoś to będzie." Nie wiadomo tylko, czy potrafimy zmienić sytuację, mając tylko nadzieję, niepopartą czynem . . .

Meksyk, to nie fikcja, ale rzeczywistość. Traktujmy go więc poważnie!

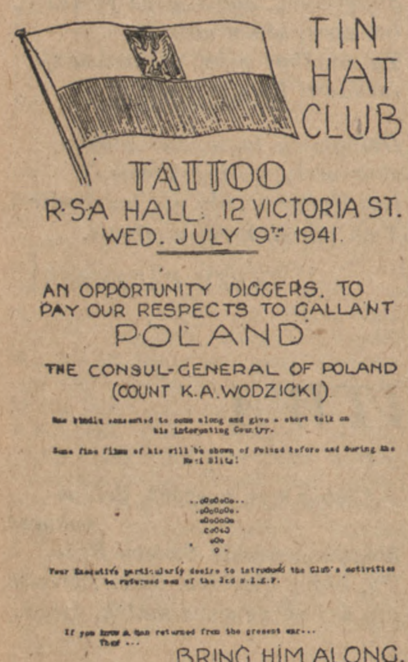
EDMUND STEFAN URBAŃSKI

* por mój art. "The Mexican Cultural Traditions," "Modern Mexico," New York, 1941.

** por mój art. "México-Puerta de América Latina," "Argentina," Buenos Aires, 1941.

* "Migawki polsko-meksykańskie," "Dziennik Chicagoski," 25. IX. 1941.

** Nawiązanie stosunków dyplomatycznych Meksyku z W. Brytanią nastąpiło w październiku br., natomiast o wznowieniu podobnych stosunków z Z.S.R.R. i Hiszpanią nie ma narazie mowy.



Afisz zebrania byłych kombatantów w stolicy Nowej Zelandii Wellington, na którym przemawiał konsul polski prof. Kazimierz Wodzicki (por. jego list w nr. 51-52 "Polski Walczącej" z ub.r.)

Armia wychodźcza Ameryki

(Korespondencja własna "Polski Walczącej")

Parana, wrzesień 1941.

Rozpoczęta, po powrocie Naczelnego Wodza z Ameryki, akcja werbunkowa do Armii Polskiej w Kanadzie, ogarnęła już wszystkie ośrodki wychodźcze w obu Amerykach. O ile jednak napływ ochotników ze Stanów Zjednoczonych posiada wszelkie ułatwienia i zachęty, zaczynając od bliskości obozu, o tyle werbunek w krajach Ameryki Południowej odbywa się w trudniejszych warunkach.

Polonia w Ameryce Południowej nie widzi swoich ochotników i nie odczuwa bezpośrednio owego rytmu życia obozowego. Poza tym brakuje nam żywego słowa, które gdzie indziej dociera przez radio do słuchaczy polskich na emigracji. W Brazylii o tej porze nie ma nawet polskiego słowa pisanego i wieść o tworzeniu Armii w Kanadzie krąży jak legenda z ust do ust poprzez zapadłe puszcze. A jednak,—o tej porze wyjeżdża z Ameryki Południowej już czwarty transport ochotników do Kanady.

Oczywiście prym dzierży Polonia argentyńska, gdzie społeczeństwo wychodźcze posiada dużą swobodę działania, jest zorganizowane i dysponuje materiałem ludzkim, nadającym się do służby wojskowej. Są to przeważnie rezerwiści, którzy wyemigrowali z Polski za zarobkiem na kilka lat przed tą wojną.
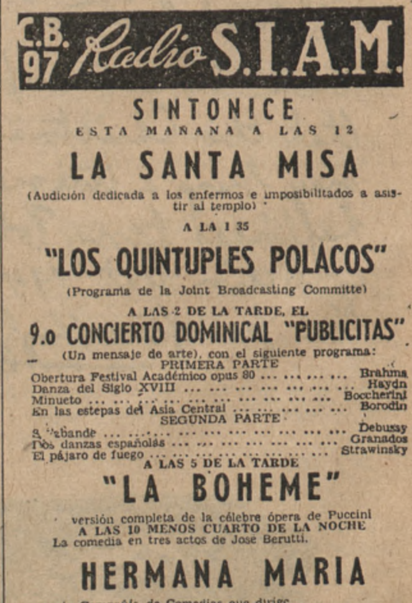
Akcji werbunkowej w Argentynie sprzyja też wysoce obywatelskie stanowisko tamtejszego Związku Kobiet Polskich, który nie tylko roztacza opiekę nad ochotnikami, ale i nad ich rodzinami, pozostającymi na emigracji. Polonia argentyńska opodatkowała się samorzutnie na ten cel i zachęca swym przykładem inne ośrodki wychodźcze. Jeśli ta inicjatywa przyjmie się i gdzie indziej, to zostanie rozwiązana sprawa bardzo ważna dla organizacji naszego Wojska w Ameryce.

Ochotników byłoby znacznie więcej, gdyby nie kwestia zaopatrzenia rodzin. W Ameryce Południowej młodzież nasza zwykła żenić się wcześnie, szczególnie osadnicy i z tego powodu największa liczba mężczyzn w wieku poborowym obarczona jest obowiązkami rodzinnymi. Gdy idą oni teraz na ochotnika, to składają dowody wielkiego patriotyzmu i samozaparcia się, gdyż pobudki do tego kroku czerpią wyłącznie w sentymencie narodowym. Są to przeważnie ludzie, których łączność z Polską już przed wojną była prawie "platoniczna"—a dopiero wojna i tragiczne wieści z Kraju pobudziły ich do tej ofiarności. Są to ochotnicy, którzy o powrocie do Polski nie myśleli.

Prasa polska w U.S.A. ubolewa często, że tamtejsza młodzież polsko-amerykańska nie wykazuje w tym czasie spodziewanego zapału i uświadomienia narodowego. Rozmawiałem na ten temat z młodymi ludźmi w Ameryce Południowej i doszedłem do wniosku, że nie tyle potrzeba im morałów patriotycznych, ile żywego przykładu w postaci barwnych opisów życia żołnierskiego, brawurowych wyczynów naszych lotników, marynarzy, oddziałów ekspedycyjnych, zdjęć z życia żołnierskiego i t.p.—Tak właśnie, jak to robi "Polska Walcząca" w dziale życia obozowego.

Mimo te braki jednakże napływ młodzieży polsko-amerykańskiej do obozu w Kanadzie stale wzrasta.

WŁADYSŁAW WÓJCIK



Ogłoszenie radia w Chile, w którego programie figurują "Los Quintuples Polacos" — popularny kwintet polskich rewelersów.

Jedziemy do Tobruku



Pamiętny to był dla nas wszystkich dzień, kiedy batalion Legii Oficerskiej otrzymał rozkaz udania się do twierdzy w Tobruku, by wzmocnić szeregi Brygady, walczącej od kilku już miesięcy ze znienawidzonym wrogiem.

W wigilię wyjazdu w pełnym rynsztunku, w nowym umundurowaniu, stanęliśmy w ordynku “gdzieś na pustyni” frontem do namiotu, zamienionego na ołtarz polowy, by wysłuchać uroczystej Mszy św. odprawionej przez kapelana Legii, na intencję wyjeżdżających. W skupieniu i ciszy zanosiliśmy modły do Stwórcy. Myśli nasze ulatywały do Kraju, uginającego się pod terorem najeźdźcy. Nie jeden poprzysiągł odpłacić z nawiązką za wszelkie krzywdy, występki i zbrodnie, popełniane przez zbirów hitlerowskich na naszych siostrach i braciach. Podniosłe kazanie ks. kapelana i mocne żołnierskie słowa Zastępcy Dowódcy Legii pokrzepiły nas na duchu. Po chwili potężne słowa: “Boże coś Polskę” . . . popłynęły w przestworza, odbijając się echem wśród skał pustynnych . . .

A gdy na zakończenie długa nasza kolumna defilowała miarowym krokiem przed dowódcami, na twarzach wyższych wojskowych angielskich, przydzielonych jako łącznicy do Legii, zauważyć można było żywe zadowolenie z postawy polskiej braci oficerskiej.

Po zasłużonym “lunchu” ruch zapanował w obozie: pomiędzy namiotami kręciło się bractwo jak mrówki, czyniąc ostatnie przygotowania do wyjazdu. Dnia następnego, skoro świt, kolumna samochodów transportowych mknęła w kierunku portu aleksandryjskiego.

Rzucamy ostatnie spojrzenie na kontury oddalających się namiotów. Nowe myśli tłoczą się do głowy—gdy oto przed oczyma zarysowywać się zaczęła sylwetka potężnego kontrtorpedowca, co przemierzył już tysiące mil morskich od Narviku po Gibraltar, Kretę, Cypr, Tobruk i niejedną przygodę wojenną już przeżył, zawsze wychodząc cało z opresji. On to ma zawieźć nas na miejsce przeznaczenia.

Padają rozkazy “wsiadać.” W ciszy i spokoju długie zastępy “legionistów” zajmują plutonami i kompaniami swe miejsca na pokładach. Wszystko idzie sprawnie i całe załadowanie trwa zaledwie kilkanaście minut. Dowódcy poszczególnych oddziałów sprawdzają, czy wszystko gotowe i po chwili okręt nasz zwolna rusza. Żegnamy wzrokiem piękną panoramę Aleksandrii.

Morze spokojne, jak płyta lustrzana. Mijamy sylwetki potężnych pancerników, torpedowców, okrętów podwodnych i setek innych okrętów. Pola minowe są już poza nami. Tempo jazdy zaczyna być zawrotne. Podziwiamy piękny wschód słońca.

Każdy z nas przygotowuje sobie “legowisko.” Jedni zasypiają, drudzy z zainteresowaniem oglądają potężne działa okrętowe, inni otwierają konserwy. Słychać urywane zdania ożywionej dyskusji “naszych” z marynarzami brytyjskimi. Serdeczne stosunki po chwili już nawiązane. Opowiadają o swych niecodziennych przygodach wojennych. Oglądamy setki zdjęć fotograficznych, wśród których specjalną uwagę zwracają odbitki, obrazujące falangi niemieckich skoczków spadochronowych, opuszczających się jak mrowie na skaliste wybrzeże Krety.

Rozmowę naszą przerywa nadejście jakiegoś oficera brytyjskiego. Wydaje rozkazy. Ci niepozorni, przemęczeni zdawało by się ciągłą pracą marynarze, z cichych, flegmatycznych ludzi przemieniają się nagle w uwijających się jak mrówki pracowników. Biegają wokół dział okrętowych, przygotowują amunicję . . . na wszelki wypadek. Zdala raz po raz słychać dzwonek telefoniczny. Padają nowe rozkazy. Nagle—trzaski! To próbne strzały sprzężonych karabinów maszynowych. Z sąsiednich trzech kontrtorpedowców, konwojujących nas, widać sygnały świetlne. Co kilkanaście minut okręty zmieniają swe szyki.

Dla nas “szczurów lądowych” —wszystko to rzeczy nowe. Jesteśmy pełni uznania dla sprawności tych “ludzi morza.” Poczynają wzbudzać w nas pełne zaufanie, że gdy nadejdzie chwila niebezpieczeństwa—zdadzą w stu procentach egzamin . . .

I nie zawiedliśmy się . . .

Zbliża się godzina trzecia popołudniu. Niebo czyściutkie, bez jednej chmurki. Na pokładzie spokój. Nic nie wróży niebezpieczeństwa. Humory doskonałe. Tylko “starsi panowie” pozwalają sobie na poobiednią drzemkę . . ., “młodzież” dyskutuje, opowiada kawały . . .

Nagle dzwon alarmowy! Pokład zmienia się nie do poznania. Podnosimy się, jakby na komendę ze swych miejsc. Hełmy stalowe widnieją już na wszystkich głowach. Jeden drugiemu pomaga w nakładaniu pasów ratunkowych. Każdy machinalnie usuwa się z przejścia, by nie utrudniać pracy załodze. Zdala słychać słowa oburzenia któregoś z kolegów: “A to łajdaki—nawet się przespać porządnie człowiekowi nie dadzą . . .” Ale chcąc nie chcąc powstaje i on i w zupełnym spokoju nakłada powoli pas korkowy.

Chwila oczekiwania. Raptem błysk i huk wstrząsa powietrzem: to działa okrętowe pracują. Trzy, czy cztery fontanny wody wzbijają się w górę koło jednego z sąsiednich kontrtorpedowców. To bomby! Chybiły. Jeszcze jeden wystrzał i na tym koniec. W górze widać ledwo dostrzegalny, oddalający się szybko nieprzyjacielski samolot.

—To wywiadowca—padają urywane słowa z różnych stron pokładu.

Nie jeden z nas pomyślał sobie: “W nocy może być gorąco” . . .

I znowu normalny tryb życia powraca na okręcie. Obliczamy, kiedy staniemy w Tobruku, wspominamy kolegów, co niedawno udali się do twierdzy, jako nasi kwatermistrze. Jeden z nas zagląda do worka, czy butelka koniaku dla Karola aby cała. Cała. Ucieszy się chłop na swoje imieniny.

—Ale kiełbasę to chyba zjemy —wtrąca inny i przeszło metrowej długości kawał smakowitego mięsiwa znika w rękach “żarłocznych” legionistów.

—A ja byłem o tyle sprytniejszy —wykrzykuje któryś—że wziąłem ze sobą parę puszek amerykańskiego piwa. Ale Wam nie dam. Chowam to, jak cenny skarb. Dopiero będzie uciecha jak wrócimy szczęśliwie z pierwszego patrolu.

Gadu, gadu i człek się nawet nie spostrzegł, gdy ściemniać się zaczęło. Przepiękny zachód słońca: jakby wielka kula złocistoczerwona zanurza się w morze. Widok cudowny, zdaje się horyzont płonie. Po pewnym czasie już ciemno, tylko księżyc rzuca światło na morze a za rufą srebrzysta smuga spienionej wody ciągnie się na znaczną odległość.

—To nasz nieprzyjaciel—objaśnia jakiś marynarz wskazując na księżyc i na ową smugę.—Widać ją dobrze z góry—dodaje.

Sprawdzamy pasy korkowe, wdziewamy płaszcze, bo zaczyna się robić chłodno i powoli, gdzie kto może, układamy się do snu— kilku z nas tuż przy dziale okrętowym, którego groźna lufa widnieje jak na dłoni w poświacie księżyca.

Zaczynam drzemać. Raptem budzi mnie dziwny wstrząs. Obracające się działo stalowym pancerzem uderza mnie lekko po hełmie. Jednocześnie oślepiający błysk i wstrząsający huk. W pierwszej chwili nie mogę zdać sobie sprawy co się dzieje.

—Czyżby bomba trafiła w okręt?

—Nie!

Rozpoczyna się piekielna kanonada. Okrzyki “ognia,” dzwonki telefonów, trzaski karabinów maszynowych, wyrzucających świetlne, różnokolorowe pociski, ogłuszający huk dział—wszystko to sprawia trudne do opisania wrażenie.

Pada rozkaz: “Zwolnić przejścia. Wszyscy kłaść się twarzą do pokładu.”

Kanonada nie ustaje. Zapora ogniowa wspaniała. Pociski pękają jeden po drugim. Unoszę lekko głowę w prawo i patrzę na sąsiednie okręty. Zieją ogniem ze swych dział. Kontrtorpedowiec nasz mknie jak strzała. Zdala widać fontanny wody. To bomby! Na szczęście nie trafiają.

Po paru minutach spokój. Działa umilkły. Ale czy na długo?

Chwila odprężenia nerwowego. Przyglądam się kolegom. Wszyscy spokojni, opanowani, jeno dziwny błysk w ich oczach. Zaczynają się bezładne uwagi. Ktoś robi porównanie z walką lądową.

Patrzę na zegarek. Upłynęło 10 minut. Znowu oślepiający błysk. Kanonada jeszcze gwałtowniejsza. Wtulamy głowy w ramiona, otwieramy usta, by bębenki nie popękały. Robi się istne piekło.

Wśród ogłuszającego huku dział i trzasku z karabinów maszynowych słyszymy najwyraźniej warkot motorów. Pikują. Wydaje się, że bombowce są tuż nad okrętem. Wszyscy myślimy w tej chwili o jednym: “Aby tylko nie siekli z karabinów maszynowych —zginie nas wielu.” Na szczęście nie.

Znowu rakieta świetlna nad sąsiednim okrętem. Znowu huk i fontanna wody. Podnoszę głowę. W odległości jakichś 500—600 m. od naszego okrętu widzę na morzu —z początku lekkie, potem co raz silniejsze światło.

—To pewnie płonący samolot— ktoś wtrąca. Zaczynają się spory.

—Przecież nikt nie widział w powietrzu palącej się maszyny.

—Boże!—to okręt płonie!

Który? Może jeden z tych co ma na pokładzie grupę naszych kolegów z Legii wraz z Czołówką teatralną Sekcji Propagandy Oświaty i Kultury.

Płomienie stają się co raz silniejsze. Ogarnia nas zdenerwowanie. Po chwili dowiadujemy się od jednego z marynarzy, że to okręt, na którym naszych nie ma.

Działa wciąż grzmią. Podziwiamy opanowanie i spokój ich obsługi. Pracują jak automaty. To wspaniali ludzie!

Nasi, bliżej wejścia do dolnych pokładów siedzący—widząc pomęczonych marynarzy, podających amunicję, ofiarują im swe usługi. Marynarze dziękują z uśmiechem. Zaczyna się współpraca. Zdajemy sobie sprawę, że jesteśmy tylko ładunkiem pokładowym, czynnikiem zupełnie biernym, więc przynajmniej przez podawanie pocisków pomóżmy tym dzielnym chłopcom.

Przed nami ukazuje się jakaś sylwetka. To ksiądz Kapelan nie zapomina o nas, odwiedza, dodaje otuchy, błogosławi relikwiami św. Teresy.

Nalot za nalotem nie ustaje. Wśród huku dział słyszymy rozkaz oficera brytyjskiego: “Opróżnić górny pokład. Udać się na dół” !

Powstajemy natychmiast ze swych miejsc i przesuwamy się na dziób okrętu. Przechodzimy, wśród huku dział, przez długie, wąskie korytarze. Światła przyciemnione. Każą schodzić na dół. W dość obszernej sali widzimy już tłum kolegów. Wszyscy spokojni.

—Nie pomieścimy się tu.

Kilku z nas schodzi przez wąskie przejście po drabince jeszcze niżej. Jest nas tu niewielu. Cisza grobowa na niewielkiej sali. Czujemy po pracy maszyn, że okręt nabiera błyskawicznej szybkości.

—Śpieszymy na pomoc!

Działa pracują bez przerwy. Po chwili lekki wstrząs.

—A to zbiry, przecież wiedzą, że płyniemy na ratunek i jeszcze nas atakują.

Znowu wstrząs—tym razem silniejszy, jakby zetknięcie się burtami dwu okrętów. Po chwili słyszymy wybuchy amunicji na płonącym torpedowcu.

Nagle okropny wstrząs naszego okrętu. Słychać trzaski padających przedmiotów i brzęk tłuczonych szyb. Trzymam się mocno ławki, by nie upaść. Wstrząs trwa parę sekund. Ma się wrażenie, że wszystko się lada chwila zawali. Uczucie straszne. Zdaję sobie sprawę, że jeśli to bomba trafiła w okręt, to cało z tego dolnego pokładu nie wyjdziemy.

Nagle gaśnie światło. Machinalnie zamykam oczy i czekam tylko na chwilę, kiedy woda zacznie się wlewać do naszej komory. Po paru sekundach ukazuje się światełko ręcznych latarek. Patrzę na twarze kolegów. Opanowani, spokojni.

Jakiś marynarz informuje nas, że wielka bomba—torpeda padła opodal naszego okrętu, uszkadzając go. Napięcie rośnie. Po paru minutach, słyszymy znowu pracę maszyn okrętowych i czujemy, że zwolna ruszamy.

Odetchnęliśmy. Mogło być znacznie gorzej . . .

Duszno staje się potwornie. Rozpinamy kołnierze. Marynarze podają nam wodę. Pijemy z rozkoszą. Każdy ma tylko jedno życzenie: wyjść na górny pokład, odetchnąć świeżym powietrzem.

Pragnieniom naszym staje się wkrótce zadość, słyszymy rozkaz “wyjść na górny pokład.” I znowu jesteśmy na swoich starych “śmieciach,” przy dziale okrętowym. Dzielimy się na wzajem wrażeniami. Padają różne bezładne uwagi. Naloty na szczęście ustały. Patrzymy na zegarki: trwały przeszło dwie godziny z małymi zaledwie przerwami.

Następuje sprawdzenie przez poszczególnych dowódców czy wszyscy są cali i czy bagaż nie wpadł do wody. Okazuje się, że szereg przedmiotów z “oporządzenia” osobistego wypadł za burtę, jak również kilka walizek. Niepokoi nas natomiast poważnie brak jednego z kolegów. Nikt nie umie powiedzieć co się z nim stało. Dopiero potym okazało się, że w czasie silnego wstrząsu okrętem wyrzuciło go za burtę. Porał się biedak z falami przez dłuższy czas aż wyratował go jeden z towarzyszących nam kontrtorpedowców.

Okręt posuwa się bardzo wolno na przód, przechylony na lewą burtę. Okazuje się, że uszkodzenia są dość poważne i że woda wdarła się do jednej z dolnych komór. Organizujemy plutonami kolejki do pompowania jej. Inni w międzyczasie zagadują wyratowanych marynarzy.

Dowiadujemy się szeregu szczegółów ataku lotniczego. Cyfra atakujących samolotów nie została stwierdzona i zdania na ten temat były rozbieżne. Faktem jest, że byliśmy w bardzo poważnym niebezpieczeństwie. Jest rzeczą ustaloną na morzu, że w chwilach groźnych każdy z członków załogi okrętu—a nawet wtajemniczony w to pasażer—ma prawo rozbić szybę od kasetki, zawierającej najważniejsze dokumenty i oddać je Kapitanowi okrętu. Ten wypadek właśnie miał miejsce na naszym kontrtorpedowcu, co nas uświadomiło, że byliśmy o krok od katastrofy.

Kiedy sytuacja stała się poważna, kiedy naloty nie ustawały, a kanonada się potęgowała—kapitan naszego okrętu dał rozkaz śpieszenia na pomoc płonącemu towarzyszowi.

Nagły zwrot i okręt mknie jak strzała. Widok wspaniały w swej grozie.

Olbrzymia plama ognia w miarę zbliżania staje się co raz większa. Kłęby dymu unoszą się nad okrętem. Raz po raz słychać gwałtowne wybuchy amunicji.

Co robią marynarze palącego się stalowego smoka? Wszyscy na posterunkach! Nie zważając na żar, idący od płonącej rufy—strzelają do ostatniej chwili z dział na dziobie. Inni chwytają za gaśnice: a nuż uda się uratować ukochany okręt. Walczą jak tygrysy.

Okręt nasz—mimo wybuchów amunicji /a ryzyko było bardzo wielkie/—dojeżdża do objętego płomieniami kontrtorpedowca. Lekkie zderzenie. Nasz kapitan, jako dowódca całości konwoju— wskakuje na mostek kapitański płonącego okrętu, bierze za rękę jego kapitana, perswaduje mu coś przez chwilę i sprowadza go na nasz pokład. Gwałtowne wybuchy amunicji nie ustają. Blask oślepiający. Marynarze płonącego okrętu przeskakują na nasz torpedowiec. Rannymi zajmują się nasi lekarze, będący już w pogotowiu.

Kiedy mamy odpływać—opodal pada bomba-torpeda. Straszliwy wstrząs całym okrętem. Na szczęście wychodzimy obronną ręką z niebezpieczeństwa. Gdyby o kilkanaście metrów bliżej—mało kto prawdopodobnie uszedłby z życiem . . .

Odbijamy. Wyratowani marynarze, wraz ze swym kapitanem stają na baczność, rzucają ostatnie spojrzenie na objęty płomieniami torpedowiec i trzykrotnym okrzykiem “hurra” żegnają pogrążający się już w falach, ukochany warsztat pracy wojennej. Była to chwila niezapomniana.

Czytaliśmy w opowieściach i komunikatach wojennych o wspaniałej pracy Królewskiej Marynarki. Nie było w tym cienia przesady. Widzieliśmy tych dzielnych ludzi na własne oczy w chwili groźnej. To żołnierze prawdziwi! —przygotowani na wszystko, zakochani w swych okrętach, patrzący z pogardą śmierci w oczy, gotowi na wszelką ofiarę i poświęcenie. Naród, mający takich synów, zwyciężyć musi!

Jest już prawie północ. Nikt nie śpi. Dzielimy się nadal wrażeniami. Nagle rozchodzi się wieść, że kapitan naszego okrętu otrzymał nowe rozkazy . . .

—Zawracamy! . . .

Na skutek doznanych uszkodzeń —szybkość okrętu znacznie się zmniejszyła i nie zdołał by on w drodze powrotnej z Tobruku na czas przebyć niebezpiecznej strefy. A byliśmy już tak blisko celu swej podróży . . .

Obserwujemy jeszcze zdala bombardowanie Bardii przez eskadry brytyjskich bombowców, po czym zasypiamy snem zasłużonym . . .

Gdy słońce już wzeszło, kto żyw pośpieszył na rufę, by wysłuchać cichej Mszy św. odprawionej przez naszego Kapelana. Obok liczna grupa wyratowanych brytyjskich marynarzy i wolna od zajęć część załogi naszego kontrtorpedowca. W ciszy i skupieniu dziękowaliśmy Stwórcy za ocalenie, a po skończonym nabożeństwie z piersi naszych popłynęły słowa hymnu “God Save the King” i “Boże coś Polskę” i poniosły je fale hen . . . daleko—w kierunku Tobruku . . . gdzie walczy Brygada . . .

W niezamąconym już niczym spokoju—w asyście kilku kontrtorpedowców konwojujących dopłynęliśmy do portu aleksandryjskiego.

Podniosła była chwila, gdy w nowym miejscu postoju “gdzieś na piaskach pustyni” zastępca dowódcy L.O. przy odprawie oficerskiej, dziękował “w imieniu służby” za “zimną krew i żołnierską postawę Legii w chwili niebezpieczeństwa.”

Serdeczne depesze kapitana kontrtorpedowca oraz generała angielskiego Bewsher, wyrażające pełne uznanie dla dzielnego zachowania się braci oficerskiej w chwili krytycznej—dodały nam bodźca do dalszej pracy dla Sprawy Polskiej. Oto tekst depeszy generała Bewshera do zastępcy Dowódcy Wojsk Polskich na Środkowym Wschodzie:

“Żołnierze wszystkich stopni i służb /mowa o Anglikach/ są pod wrażeniem dzielnego i odważnego zachowania się Polskiej Legii Oficerskiej w czasie ostatniego ciężkiego i uporczywego bombardowania z powietrza na morzu.”

“Nie dziś—to jutro” . . . znajdziemy się u boku walczącej Brygady . . .

“Gdzieś na pustyni”
w październiku 1941 r.

WACŁAW SIKORSKI

Nowości lotnicze

Na tle toczących się obecnie działań wojennych na rozmaitych terenach z łatwością umiejscowić możemy pięć zasadniczych frontów lotniczych. Są nimi: front libijski, front rosyjski, front Południowego Pacyfiku, front zachodni, wreszcie front atlantycki. Każdy z tych frontów posiada swoją specyficzną cechę. Wszystkie zaś razem dają nam obraz rozwoju lotnictwa bojowego i jego nowoczesnej wszechstronności.

Przypatrzmy się temu bliżej: działania frontu libijskiego i rosyjskiego mimo tak odmiennych warunków klimatycznych, rozpatrywane pod względem taktycznym dają nam podobny obraz. Lotnictwo działa na tych frontach nie jako broń samodzielna, lecz broń pomocnicza pola bitwy dla wzmocnienia działań jednostek pancernych. Stanowi to obok rozpoznania ich pierwsze zadanie. Na drugim miejscu pozostaje dezorganizowanie bezpośrednich tyłów nieprzyjaciela. Wobec zaangażowania całych sił lotniczych na froncie działania na głębokie tyły są rzadkie.

Front Południowego Pacyfiku jest zasadniczo odmienny. Działanie lotnictwa wybija się na pierwszy plan, szczególnie przy tak intensywnych działaniach morskich. Na pierwsze miejsce wysunęło się lotnictwo torpedujące, użyte obecnie w odmienny sposób, bez szukania zaskoczenia, lecz idące masą przeciw jednostkom ciężkim. Lotnictwo bombowe otrzymało zadania przygotowywania desantów morskich, myśliwskie—osłonę desantów oraz floty. Wreszcie niebywałe skupienia najcięższego lotnictwa bombardującego użyte są do wzmocnienia artylerii oblężniczej i ciężkiej artylerii morskiej przy zdobywaniu baz nieprzyjacielskiej floty.

Znowu inny jest front zachodni. Ktoś z korespondentów wojennych nazwał go frontem jednostronnym, mając może na myśli inicjatywę, która spoczywa od dziewięciu miesięcy w rękach brytyjskich. Tutaj lotnictwo skierowane jest przeciw przemysłowi nieprzyjaciela, przeciw jego magazynom i ośrodkom zaopatrzenia. Spełnia w równej mierze także rolę propagatora siły atakującej, przez demoralizowanie społeczeństwa niemieckiego. Front ten nie jest zupełnie jednostronny, w każdym razie *Luftwaffe* zadawala się w tej chwili jedynie defensywną osłoną, wypadając jedynie od czasu do czasu czy to lotami korsarskimi małych zespołów, czy to nieco liczniejszymi zespołami na słabiej bronione cele przeciwnika.

Wreszcie front atlantycki. Tutaj znowu zupełna zmiana dekoracji. Powietrze nad Atlantykiem nie jest—jak się to mówi "nasycone" — próżno szukalibyśmy wielkich zespołów bombowych, czy myśliwskich. Tylko olbrzymie latające łodzie, patrolując samotnie, krzyżują Atlantyk w poszukiwaniu konwojów czy okrętów podwodnych, tylko od czasu do czasu samolot wyrzucony z katapulty okrętu wojennego okrąża długie szeregi zadymionych transportowców. Są to typowe działania na oceanicznych liniach komunikacyjnych. Ten a nie inny wygląd tych działań został podyktowany faktem, że Atlantyk jest opanowany przez brytyjską, a teraz amerykańską flotę. Działania nieprzyjaciela—to działania korsarskie przy pomocy okrętów podwodnych, lub przemykających się chyłkiem "raider'ów."

Tego rodzaju wojna lotnicza przy krwawych stratach nieprzyjaciela przynosi także duże straty własne. Długodystansowe loty w rozmaitych warunkach atmosferycznych przemęczają załogi, podobnie jak i loty dalekodystansowe bombowców nad niemieckie ziemie. I tu i tam najniebezpieczniejszym wrogiem są nie kule nieprzyjacielskie, nie jego samoloty, lecz oblodzenie, przeciwko któremu nie ma właściwie zupełnie pewnego środka.

Samolot, jako broń opanował niepodzielnie nie tylko powietrze, lecz lądy i morza. Stało się jasne, że samolot rozstrzygnie o zwycięstwie. Ostatnie doświadczenia związane z wypadkami na Pacyfiku podkreśliły jeszcze jedną prawdę dotychczas nieznaną, lub lepiej—niedocenianą przez strategów morskich: ciężka jednostka morska jest bezbronna bez należytej osłony lotniczej. Dać ją może jedynie lotniskowiec. Stosunek ilości lotniskowców do ciężkich jednostek morskich określił się sam zupełnie jasno, bez długoletnich doświadczeń, lecz zato bardzo kosztownych. Będzie nim cyfra 1:1. Na jedną ciężką jednostkę morską — jeden lotniskowiec. Bez tej osłony ciężka jednostka morska może działać jedynie w zasięgu samolotów myśliwskich lądowych z najbliższego lotniska.

W jednym z ostatnich numerów *Sunday Times* ukazał się niezwykle ciekawy artykuł P. Masefielda na temat zysków i strat w obecnej kampanii powietrznej na wszystkich frontach. Autor słusznie podkreśla, że w tej chwili sytuacja w powietrzu zmieniła się na niekorzyść państw osi. Rzeczywiście zarówno na froncie rosyjskim, jak i libijskim, czy zachodnim—przewagę powietrzną posiadają alianci.

Tak jest niewątpliwie. Masefield ma rację. Przyczyny tego zjawiska są jasne i były zresztą do przewidzenia. Niemcy musieli, wobec zawodu jakie im sprawiło lotnictwo włoskie—wzmocnić floty powietrzne na Morzu Śródziemnym i w Afryce. Równocześnie w dalszym ciągu są zmuszeni do wielkich koncentracji lotniczych na froncie rosyjskim, przy jednoczesnej nieprzyjemnej konieczności utrzymywania w gotowości osłony i to znacznej na froncie zachodnim. Teraz, biorąc pod uwagę ilość zadań, a nadto i nad miarę przestrzenny front rosyjski—dało to Hitlerowi w rezultacie rozproszkowanie sił. Znalazł się w przymusowym położeniu: musi osłabiać poszczególne fronty, przy niemożności nasycenia żadnego. Brak przewagi, to poza tym zwiększenie strat.

Obliczając niemieckie straty na froncie rosyjskim na około 5000 zestrzelonych maszyn/ źródło amerykańskie/, do 1500 na frontach bałkańskim i libijskim, przy stratach dochodzących do 150 maszyn miesięcznie na zachodzie, przy stratach t.zw. normalnego zużycia do 300 maszyn miesięcznie, nie licząc już strat przypadkowych jak n.p. w Syrii czy Iraku, stwierdzić musimy, że Niemcy stracili i tracą dalej całkowitą produkcję miesięczną, nie wzmacniając rezerw, przeciwnie—osłabiając rezerwy.

Produkcja niemiecka wynosi około 2250 maszyn miesięcznie, lecz z tego tylko 25%, lub przyjmijmy nieprawdopodobną cyfrę 50%, obejmuje produkcję samolotów pierwszej linii.

Z tych obliczeń dojść można do optymistycznego wniosku, że poto, by utrzymać stały stan 5000 maszyn pierwszej linii Niemcy musieli uszczuplić rezerwy. Gdyby działania wojenne nie straciły na natężeniu, lotnictwo niemieckie nie przetrzyma długo, chyba, że Hitler posiada jeszcze zapasy na czarną godzinę z produkcji przedwojennej. Przypuśćmy, że tak jest.

Tabela produkcji samolotów państw walczących przedstawia się według jednego z kierowników *the United States Office of Production Management* mr. T. P. Wrighta, który tę tabelę ogłosił bezpośrednio przed wejściem St. Zj. do wojny, w sposób następujący:

Państwa osi:	
Niemcy	2250
Włochy	600
Japonia	850
Razem	3700

Państwa Alianckie:	
Wielka Brytania	1900
Stany Zjedn.	2200
Rosja	1500
Razem	5600

Cyfry te są naturalnie tylko przybliżonym obrazem produkcji miesięcznej tych państw. Tutaj trzeba podkreślić, że naprawdę niewiadomo co i ile ma Japonia. Umiejętne utrzymywanie tajemnicy przez to państwo, może być przyczyną daleko idących niespodzianek.

W tej chwili powodzenie lotnictwa japońskiego na Pacyfiku jest niewątpliwe. To lotnictwo uzyskało panowanie nad tamtym powietrzem. Przypisać to należy rozmaitym faktom, choćby temu, że dowództwo japońskie używa swego lotnictwa masowo bez względu na straty. Jest to bardzo charakterystyczna cecha dla Japończyków.

Jeżeli chodzi o liczebność japońskiego lotnictwa, to nie jest tak duże, jakby się to w pierwszej chwili, kiedy zostało całe rzucone do ataku, wydawać mogło. Dobrze poinformowane źródła obliczają na 2000-2500 maszyn pierwszej linii przy znacznych, bo do 400% sięgających rezerwach. Samolotów na lotniskowcach będzie do 350.

Typ pilota japońskiego jest zupełnie odmienny od typu pilota europejskiego czy amerykańskiego. Przy braku inicjatywy, ograniczonej inteligencji, sztywnej szkole latania, cechuje go ogromna precyzyjność w opanowaniu sprzętu, a co za tym idzie w wykonywaniu zadań, przy iście zwierzęcej zaciętości bojowej. Pilot ten jest bardzo starannie wychowywany. I przygotowany specjalnie na nieczułość w stosunku do przeciwdziałania nieprzyjaciela, wydaje się pozbawiony ludzkiego instynktu samozachowawczego.

Należy się tedy spodziewać, że walki powietrzne na Pacyfiku nie będą należały do najlżejszych. Należy się też spodziewać, że skoro Japończycy użyli samobójczych okrętów podwodnych, użyją także i samobójczych samolotów do atakowania jednostek morskich nieprzyjaciela. Ludzi na to mają dosyć, a szkolenie pilota-samobójcy jest stosunkowo i niedrogie i łatwe. Obrona natomiast przeciwko takim samobójcom jest więcej niż trudna. Istnieje tylko jeden sposób: zniszczenie pilota wraz z samolotem przed osiągnięciem celu.

ADAM STERBAŁŁA

DZIAŁALNOŚĆ LOTNICTWA POLSKIEGO W WIELKIEJ BRYTANII

za czas od 1.XII.—30.XII.1941.

Lotnictwo myśliwskie	Lotnictwo bombowe
Ilość zestrzelonych samolotów nieprzyjaciela: pewnych — 8	Łączna ilość samolotów biorących udział w wyprawach: 137
Zniszczono destylarnię w płn. Francji.	Główne cele: Akwizgran, Calais, Kolonia, Ostenda, Düsseldorf, Emden, Brest, Dunkierka
Razem od czasu przybycia do Anglii do 30.XII.1941	
zestrzelono samolotów nieprzyjaciela: pewnych — 414	Łączna ilość samolotów: 1495

Pas cnoty

Pakuła był tego dnia milczący i zgoła bez humoru. Nie zatopienie pancernika "Hooda" wyprowadziło go z równowagi, bo i odwet, wzięty na "Bismarcku" przez flotę brytyjską też nie wzbudził w nim entuzjazmu. Strzelec przywykły do codziennych niemal sensacji wojennych, oceniający każdą sytuację z typową dlań filozoficzną przezornością, — zdawać by się mogło—stępiał i zobojętniał, jak niepotrzebny nikomu człowiek. Czuł wokół siebie pustkę. Dziwną, beznadziejną, trapiącą duszę, jak zmora.

I raptem w tę pustkę poranku wdarł się niespodziewany rozkaz: "batalion w całości —zbiórka na pogadankę!"—Oznaczało to coś wyjątkowego, zazwyczaj bowiem pogadanki odbywały się w kompaniach. Przybycie osobiste dowódcy batalionu wzbudziło jeszcze większe zainteresowanie tym, co miało nastąpić.

Wreszcie oficer oświatowy zabrał głos, roztaczając przed słuchaczami obraz skutków wynikających ze zbyt licznie i zbyt pochopnie zawiązywanych stosunków między żołnierzami a kobietami szkockimi. Mówca stwierdzał, że zagadnienie jest istotnie aktualne i pociągnie za sobą zdecydowaną walkę z tym szkodliwym objawem. Lekkomyślne zobowiązania wobec kobiet nie licują z rycerskością, która była zawsze cechą żołnierza polskiego. Z odpowiedzialności, ciążącej na nas musimy sobie, zwłaszcza tutaj na obczyźnie, zdawać dokładnie sprawę.

W przerwach, wygłaszanych przez oficera zdań, na sali panowała zupełna cisza. Strzelec Pakuła siedział pochylony, opierając dolną szczękę na zwartej silnie pięści. Słuchał. Miał swoje własne zasady życiowe, ujęte w plus minus spartańsko - lakoniczną dewizę: "równo, sztywno, panie ładny." Dlatego zapewne sztywniał co raz mocniej jego wzrok, utkwiony w oficerze oświatowym, a serce i dusza ulegały wrażeniom dotąd nie odczuwanym. Knajackie serce pana Felusia purpurowiało intensywnie i cichło zwolna w niemęskim zażenowaniu. Dusza zaś stawała dęba niby czołg przygwożdżony do ziemi pociskami armatki przeciwpancernej. "Wczytajcie się w karty "Ogniem i Mieczem" żołnierze—brzmiały ostatnie słowa prelegenta. — Wspomnijcie na Longina Podbipiętę, który ślub czystości uczynił i trwał w czystości w imię spełnienia obowiązku."

Strzelec Pakuła zamglonym spojrzeniem ogarnął salę świetlicową, własne rozkraczone nogi, poczym unosząc się powoli z ławki, wypłynął w żołnierskim tłumie na dziedziniec. Wezbrała w nim wściekłość, to też klął po cichu z pasją, której nie powstydziłby się najlepiej wyrobiony militarnie szef kompanii.

Nadszedł kapral Wycior:

—Krewa na całego, panie Feluś! Erotyczna draka chłopakom zagraża!

—Co proszę?

—Z garbaty familji pan pochodzisz, że do słowa dojść mnie nie dajesz?

—Co się robi, panie kapral, jak rany Julek?

—Ano zwyczajnie. W ten deseń przez te wojne na raty i na wypłat, szkockie kraine publicznie w Macedonje niedługo zamienim. Musowo chłopaków troche wykształcić, bo się Szkoty będą na nich odgrywać. A tu pryskać nie ma gdzie.

—Słone wode pan lubisz?

—A kto taki lubi?

—Znakiem tego, co dalej khaki człowieku? się pytam.

Strzelec Pakuła wydobył papierosa, zapalił, parsknął dymem i spoglądając na kaprala zwężonymi szparkami oczu wybuchnął:

—Tu cię boli? Co dalej? Każde jedne okoliczność załatwiać po formie należy. Marne widoki tych danych picusiówlancusiów! Grzać szkopów się wybralim, czyli też względem tego co i owszem naród szkocki naprzeciw siebie bontować!? No, może nie? Braty w krawaty szarpane! Souvenir'a taki pomięszaniec aljancki zawali i kozaka w słabszem rodzaju ludzkiem odstawia. Rasputińce imperialne. Bed-roomówce zapalczywe. Krzyżowce rasowe. Od rana łatek druciany pooridge'u się nawcina, puddingiem dopchnie, suits'ów pół kila wtroi i osobiste przestrzeń życiowe w szkockiem dziewictwie uskutecznia. Erotumany piegowate. Witaminowce chuciowe!

—Przymknij się pan cośkolwiek. Na mojej osobie się odbijasz? W tem bussiness'ie nasze chłopaki nie są czyste na glanc, ale także samo i Szkotki ich fatygują.

—Niech się trzymają ramy, w pięte podbite longinusy, bo niejeden bez Szkota uszkodzonym być może!

—Jakiem takiem prawem?

—Ano tem, że—przykładowo—jadziesz pan w goście do danej lordowej i wyszczególniasz się prepagandowo, temczasem ona ci mówi, że małżonka na ryby posłała i za słomiane wdowę się przedstawia. Coctaile raz za razem podsuwa i trajlować zaczyna, że jesteś zmęczony, więc znakiem tego sleep, please. . . . Odpowiadasz pan "all right" i—swojem porządkiem—się kładziesz. Aż tu lord przyjeżdża, wchodzi do pokoju i patrzy. Melonik zdejmuje, wędkie w kąt odstawia, szybkie w oko wkłada, delikatnie się kłania i zagaduje: "do you like Scotland" No i co? Powiesz pan, że nie, skoro jeżeli lordowskie małżonkie nieutralnie anektujesz!? Więc obowiązkowo gęgasz: "O, yes I do!" Wtenczas lordowska mość zdejmuje marynarkie, rękawy od koszuli zawija i pana kaprala football'owem kopniakiem na początek w bródkie zaiwania, w drugiem akcie kułakiem boksowem noseczek odpowiedzialnie rozpłaszcza i za chwileczkie możesz pan tego dzwońca Quasimode z iluzjonu Notre Dame de Paris artystycznie odstawiać. Lordowa nawet nie piśnie, bo swoje żeńskie prawo zna: kto mocniejszy, ten—znaczy —na wierzchu. Tem sposobem honor masz pan zahaczony, kaleką się stajesz i prócz tego sitwa aliancka się rozlatuje.

—Tak to jest. Ale weź pan na wstrzymanie o wiele szykowna zagraniczna kobieta jedwabniste pyjame założy, przed sobą spaceruje i tem szelestem cię drażni. . . .

—Głuchoniemem musisz pan być na takie nabieranie. Razu jednego szłem przez ulicę, wtem mały Szkotek się śmieje i woła: "Polish eagle." Ja mu daję cukierka, a jego mamusia do mnie: "hallo boy," pod rękie bierze i gadu gadu zaszlim do jeich mięszkania. Niczego sobie kobietka, męża w Libii mająca. Skarżyła się na ciężkie życie. Przyjemniaczek był ten synek, więc zachodziłem tam kilkorazowo z kieksamy. Za piontem coś razem pod wieczór Szkotka łap mnie za szyję. Ja jej wytłumaczenie daję na konto Walerci, na mnie oczekującej i, że względem jej męża nie mogie być świnia. A ona beczy i mówi, że litości w sercu nie posiadam, że musowo mam być aktualnem, bo ją naszło akuratnie teraz i już! To ja za furażerkie i wstrzemięźliwie daje chodu. Przy spotkaniu potem nie chciała mnie znać, panie kapral, a i ten mały wiórek także samo był zły, bo kieksamy zaprzestał się opychać.

—Honorowo się pan wykręciłeś, ale nie wszystkie chłopaki są takie. Jak pragnę wolności, mnie samego cholera bierze, bo roboty wojennej nam braknie, wrogów bicie słabo odchodzi, do kraju daleko, a do tego jeszcze Szkotki w polskiej elegancji szczegółowo gustują!

—Dla poniektórych faktycznie niemożliwość wytrzymać. Ale— —panie kapral—musiem sobie pasek cnotliwy założyć.

* * *

Kapral Wycior potwierdzająco skinął głową i odszedł w zamyśleniu. Strzelca ogarnęła fala wspomnień. Myśl lotem błyskawicy przebiegła lądy i morza, spoczęła na chwilę u podnóża wysmukłej kolumny pomnika na Placu Zamkowym i ruszyła dalej Nowym Zjazdem, mostem Kierbedzia, Zygmuntowską, Stalową aż na Targówek. Przyczaiła się w ogródku nieśmiała, pełna oczekiwania. W rozwartych drzwiach małego parterowego domku ukazała się kobieta o stroskanej twarzy, choć uśmiechało się do niej słońce. Strzelec Feluś Pakuła wyprężył się, podnosząc do czoła dwa palce w pięknym żołnierskim ukłonie. Z ust jego wybiegł w przestrzeń szept wyraźny, nabrzmiały radosną nadzieją powitania kiedyś—ukochanej kobiety: "Walerciu—cześć!"

BILL

Z życia obozów

Prezydent R.P. w Brygadzie Spadochronowej





Kilkakrotnie miałem zaszczyt przebywać w otoczeniu Prezydenta Raczkiewicza w czasie Jego podróży do oddziałów Wojsk Polskich. Byłem w dywizjonach bombowych i myśliwskich, byłem w bazach naszych okrętów wojennych, poza tym kilka razy w Szkocji. Wspomnienia z tych podróży są tak miłe i tak dla mnie pamiętne, że do pisania o nich przystępuję z obawą, abym, mówiąc o Prezydencie Rzeczypospolitej, odwiedzającym żołnierzy polskich, nie uraził Go,—oczywiście wbrew mej woli—jakimś superlatywem, jakimś uniżonym zdaniem, mającym cierpki smak złej "propagandy." Ileż razy przed wojną występowaliśmy przeciwko tym dymom kadzideł, jakie musiały spowijać każdy artykuł, poświęcony wizytom mężów stanu, odpowiedzialnych za losy kraju! Ileż razy zwracano na łamach niezależnej prasy uwagę, że uniżona reklama wywołuje wrażenie wprost przeciwne od tego, na jakie liczyli autorzy wiernopoddańczych, słodkich, nieraz aż bałwochwalczo mdłych sprawozdań i opisów. Jeżeli cechą prawdziwie wielkich ludzi jest prostota i uprzejmość w stosunkach z ludźmi—to zadaniem publicysty, który chce zapoznać ogół czytelników z postacią człowieka, mającego w tej chwili najcięższe obowiązki i ponoszącego największą przed narodem odpowiedzialność—musi być przede wszystkim dążenie do podkreślenia tych rysów, które mają znamiona najbardziej bezstronnej prawdy.

Postać Władysława Raczkiewicza jest popularna w tym naszym społeczeństwie w W. Brytanii, które w 97% składa się z armii. Żołnierz, będący dobrym obserwatorem—ceni w Prezydencie Rzeczypospolitej tę godność, tę spokojną powagę, z jaką sprawuje on swój wysoki urząd. Tzw. "świta" Prezydenta—to dwie, najwyżej trzy osoby. Żadnej "reprezentacji," żadnej pozy, żadnego "mocarstwowego" gestu. Wszystkie wystąpienia Prezydenta cechuje spokój, umiar, takt. Mowy Władysława Raczkiewicza nie są długie—ale ich konstrukcja myślowa jest przemyślana, staranna. Żadnych krasomówczych zwrotów, żadnych zdań, których treść mogłaby wywołać zbyteczne dyskusje lub rozdrażnienie. W mowach Prezydenta nie czuje się nigdy egocentryzmu: poruszając nawet tematy tych spraw, o których wszyscy wiedzą, że dokonywały się z jego współudziałem—Prezydent nigdy nie mówi o sobie.

Byłoby przesadą gdybyśmy pisali, że wizyty Prezydenta w Wojsku Polskim przyjmowane są z jakimś "entuzjazmem." Położenie nasze jest ciężkie, głaz, który legł na sercach, nie został jeszcze zwalony, przecierpieliśmy bardzo dużo—i na "entuzjazm" jeszcze zawcześnie. Ale stwierdzimy prawdę, mówiąc, że każdy przyjazd Prezydenta Rzeczypospolitej do Wojska—przyjmowany jest z uznaniem, więcej, przyjmowany jest z pełnym zadowoleniem. Pomiędzy najwyższym zwierzchnikiem Polskich Sił Zbrojnych a żołnierzem polskim nawiązuje się stały, niemal osobisty kontakt, wytwarza się atmosfera i zaufania i wzajemnego zrozumienia. A już to samo wystarcza, aby cel każdego przyjazdu Szefa Państwa do armii—został osiągnięty.

Wrażenie to odczuliśmy szczególnie silnie w czasie pobytu Pana Prezydenta w Brygadzie Spadochronowej. Jest to najnowocześniejszy rodzaj broni, powstały już w obecnej wojnie i stosowany po raz pierwszy na większą skalę, w przeszłym roku. Służba trudna, skomplikowana, wymagająca największego natężenia wszystkich sił, zarówno fizycznych jak i moralnych. Trzeba opanować nie tylko każdy muskuł, ale i każdy nerw. *Trzeba wyrobić w sobie największą siłę woli a zarazem wysoką gotowość poświęcenia, pogardę niebezpieczeństwa.*

Uczucia nasze stępiały pod młotem wydarzeń. O skoku z dwu lub trzech tysięcy metrów, o desantach na obszarze, zajętym przez nieprzyjaciela—czyta się tak, jak w czasie pierwszej wojny światowej o patrolach kawaleryjskich. Czytelnik oszczędza sobie wyobrażenia chwili, kiedy żołnierz oddziału spadochronowego musi spojrzeć w olbrzymią przepaść kilku tysięcy metrów, pokonać instynkt samozachowawczy, odbić się od aparatu i—skoczyć, w dół. *I jeszcze—jak skoczyć!* Trzeba wiedzieć, jak należy się zachować, aby ani na sekundę nie opóźnić zbiorowego manewru, aby nie zawadzić o przeciwległy kant otworu wyrzutni, aby w skoku przeciwstawiać się sile wiatru i w ogóle walczyć z tymi warunkami atmosferycznymi, jakie powstaną w okresie akcji! Wszystko musi być obliczone, przewidziane, przećwiczone. Nie wystarcza sam hazard życia, trzeba jeszcze umieć stawiać opór śmierci, grożącej i z powietrza i z ziemi.

Ćwiczenia w Brygadzie Spadochronowej wypełniają cały dzień zajęć. Są skomplikowane i trudne, ale tak ciekawe, tak interesujące, jak bodaj w żadnym innym rodzaju broni.

—Podoba się Panu ta służba?—pytał Prezydent młodziutkiego sierżanta.

—Bardzo, Panie Prezydencie!—brzmiała odpowiedź.

—A może pan powiedzieć dlaczego?

Podoficer zastanowił się chwilę.

—*Bo jest bardzo celowa.*

Słuszne określenie. Przypatrywaliśmy się ćwiczeniom gimnastycznym w małym lasku, który gwara żołnierska już zdążyła przemianować na "małpi gaj." Jakże były one odmienne od tych wszelkich "gimnastyk," monotonnych i nudnych. Każdy ruch obliczony na zastosowanie go w praktyce spadochroniarskiej. Tak trzeba skakać na głowę. Tak należy hartować płuca. W ten sposób trzeba unikać zwichnięcia nogi lub ręki. Tak zaprawia się mięśnie ramion, które będą wydatnie pracowały przy gaszeniu "czaszy." *Celowość ćwiczeń łączy się z szybkością orientacji.* Decyzja musi być szybka, wykonanie jej konsekwentne.

Jest to nie tylko szkoła gimnastyki, ale i szkoła hartowania woli, opanowania siebie, słowem: szkoła charakteru. Spadochroniarstwo nie jest jedynie sztuką wyskakiwania z samolotu. *Jest to również walka w terenie obcym, na który, nie w przenośnym, ale w dosłownym tego słowa znaczeniu "spada się z nieba."* Trzeba znać technikę rozpoczęcia ognia w warunkach nieraz nad zwyczaj trudnych. Trzeba momentalnie orientować stąd obstrzał.

Praca jest trudna, niebezpieczna, zawsze bardzo eksponowana, *ale również nawskróś twórcza, przy której zasadniczą rolę grają wszystkie indywidualne zalety żołnierza.* Nie jest on tą bezbarwną cząstką masy z okresu ostatniej wojny, tym mięsem armatnim, doprowadzanym zbiorowo na "front."

Oddziały spadochroniarskie wprowadzili do akcji pierwsi Niemcy. Dorównali im, zresztą bardzo szybko, Anglicy. Jak przedstawia się nasz dorobek wojskowy w polskiej Brygadzie Spadochroniarskiej?

Po strasznym wrześniu 1939 roku, jak ognia trzeba wystrzegać się wszelkiej megalomanii narodowej. Raczej zamilczeć, aniżeli przesadzić, przechwalić, przereklamować. *I dlatego zamiast zachwytów—suche wyliczenie faktów.* Do naszej Brygady przyjeżdżają instruktorzy angielscy, aby polskie doświadczenie stosować we własnych jednostkach bojowych tego typu. Podoba im się nadzwyczajny porządek w Brygadzie: nie bezmyślny dryl, ale ten celowy porządek, w którym każdy wie, co ma robić, w którym nikt nie potrzebuje obawiać się odpowiedzialności za cudzy bałagan, gdyż zakres każdej pracy jest oznaczony dokładnie, bardzo prosto i bardzo zrozumiale. Podoba się im pomysłowość ćwiczeń, z których bardzo wiele jest naszym własnym, oryginalnym "patentem." Podoba się wreszcie ten naprawdę dobry nastrój w Brygadzie: wojskowy, karny, a przy tym tak koleżeński, tak serdeczny!

Rozkład zajęć jest naprawdę imponujący swą rozpiętością.

—Wie Pan, co mnie najbardziej zaimponowało?—mówił jeden z naszych brytyjskich gospodarzy. —*Oto fakt, że w program ćwiczeń włączono obowiązkową naukę boksu i walki z gangsterami.* Polski żołnierz w Brygadzie Spadochronowej wie, jak należy ubezwładnić bandytę, przykładającego mu nóż do piersi lub rewolwer do skroni! Zna wszystkie chwyty policyjne! Wie, jak rozłożyć silniejszego od siebie draba jednym uderzeniem ręki!

Ale prawdziwą niespodzianką był podwieczorek Pana Prezydenta. Herbata—na wystawie obrazów. Kilka sal obwieszonych szkicami, rysunkami i akwarelami, które z pewnością wytrzymałyby próbę egzaminu na każdej wystawie w Londynie czy w Edynburglu. W górnej sali podziwiamy projekty architektoniczne. Hotel w Gdyni, projekt ratusza w gminie wiejskiej, projekt kaplicy.

—*Chodzi nam*—objaśnia młody architekt, podporucznik—o *wydobycie wszystkich cech stylu na ziemiach polskich.*

Na stole wydawnictwa Biura Prop. i Ośw., dalej książki polskie i angielskie. Wykazy dotyczące czytelnictwa. Sprawozdania z takich i takich kursów.

—Znajdują Panowie czas na tak wysoko postawioną pracę kulturalną?

—Naturalnie. Jeden z naszych kolegów wziął pierwszą nagrodę w konkursie architektonicznym, poza tym pierwszą nagrodę w konkursie na pamiętnik żołnierski. Jest to zresztą świetny żołnierz . . . Może właśnie spadochroniarstwo budzi takie różnorodne objawy twórczości . . . —śmieje się.

Nie może, ale napewno. Warto, aby dorobek kulturalnej pracy w Brygadzie Spadochronowej, obejrzeli sobie publicyści, rozdzierający drogi materiał angielski z powodu "upadku oświaty w armii" i marnowania się talentów. Ci młodzi—i zresztą nie tylko tak bardzo młodzi—żołnierze uczą się bardzo trudnej, na wskróś nowoczesnej sztuki wojennej, gdyż wiedzą, że nie przyjechali tu na uniwersyteckie kursy dokształcające, ale mają stanowić kadry armii, przed którą piętrzą się zadania wprost olbrzymie w walce o byt lub niebyt narodu. Lecz, między jednym i drugim ćwiczeniem—znajdują czas na dyskusje w sprawach zagadnień architektonicznych, jakie trzeba będzie rozwiązać w wolnej Polsce.

—"*Praca Wasza*—mówił na skromnym obiedzie żołnierskim Prezydent Rzeczypospolitej—*jest pod każdym względem twórcza. Twórcza pod względem wojskowym. Twórcza pod względem szkolenia charakteru, twórcza w opanowaniu samego siebie. Odpowiada ona świetnie Waszej dewizie: "najkrótsza droga." Towarzyszą Wam w niej moje najgorętsze życzenia. Towarzyszą Wam życzenia całej, umęczonej Polski, która docenia Wasz żołnierski trud, waszą energię i pracę nad wydarciem wrogowi wszystkich jego tajemnic powodzenia, nad stworzeniem kadr takiej armii, jakiej w tej chwili Polsce najbardziej potrzeba.*"

Żołnierz polski chce opanować zasady nowoczesnej wojny. Cieszy się, jeżeli urzeczywistniają się jego pragnienia. Zdaje sobie sprawę z ogromu pracy wojskowej, która go czeka nieuchronnie. I naprawdę, niepotrzebnie wysilają się ci, którzy wiarę w celowość jego wojskowego wysiłku usiłują podważyć ironią lub drwiną. "Najkrótsza droga do Polski—to skok z 2,000 metrów." A lecąc z nieba na ziemię obcasami się nie trzaska. I takiego wyczynu skomplikowany program wyszkolenia w Brygadzie Spadochronowej wcale nie przewiduje.

TADEUSZ KIEŁPIŃSKI

Odwiedziny miłe sercu

Wszelkie odwiedziny, tak zwane urzędowe, mają swój ceremoniał jednakowy i z góry można je opisać, nie widząc. Zwłaszcza w marynarce i w wojsku, gdzie obowiązują regulaminy, wszystko dzieje się jednakowo i dokładnie według planu z góry opracowanego i wykonywanego ze ścisłością co do minuty . . . . A przecież są różnice! Niektóre odwiedziny mijają niespostrzeżenie, gdy inne zostawiają ślad w duszach, zostawiają wspomnienia, do których często się wraca. Czasami robi to chwila szczególnie osobliwa, czasami jest to nastrój wynikły z wydarzeń, czasami jest to wdzięk i serce tego, który przyjeżdża.

Prezydent Rzeczypospolitej Władysław Raczkiewicz ma właśnie tego wdzięku osobistego, czaru bezpośredniości i prostoty ogromnie dużo. A chwyta to za serca ludzi prostych i bezpośrednich jakimi są marynarze. . . Kto bowiem spędza długie miesiące i lata w kontakcie z ustawicznym niebezpieczeństwem i codzień niemal ociera się o możliwość niespodziewanej śmierci, ten nie znosi sztuczności i lgnie do ludzi, którzy patrzą wprost w serca.

* * *

W jednym z portów Wielkiej Brytanii na okrętych R.P. przypadkowo zebranych "prawie razem" pewnego dnia odbyła się wizyta Prezydenta, który w towarzystwie Szefa Kierownictwa Marynarki Wojennej i niewielkiej świty odwiedził granatowych chłopców i spojrzał w oczy tym, którzy obok lotników bez ustanku i bez przerwy są w ogniu od września 1939 roku.

—Widzi pan—tłomaczył mi potem jeden z marynarzy—jesteśmy nazbyt "w ruchu," aby był czas odwiedzać nas częściej. Rozumieny to doskonale. Zresztą, gdy się z morza przyjedzie na krótki czas do portu, człowiek pragnie przede wszystkim kości rozprostować na lądzie, popatrzeć na "jakieś ludzkie twarze" i niby wypocząć, choć i tu roboty na okręcie do diabła i trochę, czego żaden "zając" nie zrozumie. . . A tu zaraz taka wysoka wizyta . . . Okręt odmalowany na świeżo, jakiś taki bardzo różny, przerwa w robocie i wszystko na okręcie "na sztywno." . . . Ale gdy ujrzeliśmy uśmiech naszego gościa i, gdy usłyszeliśmy jak z nami rozmawia zaraz ta "sztywność" rozwiała się i tak poczuliśmy jakby nas ktoś z Polski odwiedził. Dopiero potem człowiek uświadomił sobie, że przecież to tej Polski pierwszy obywatel. Widzi Pan, to takie odwiedziny miłe sercu, chociaż i ceremoniał jest i "na prawo patrz" i okręt świeżo wymalowany, że ruszyć się nie można, aby farba nie wlazła w mundur . . .

* * *

—Na drugim okręcie /sławnym ze spotkania z "Bismarkiem"; imię poprzedniego okrętu często powtarza się w historii Polskiej Marynarki Wojennej z walk we fiordach Norwegii, pod Calais i pod Dunkierką/ jeden z dekorowanych marynarzy powiedział krótko:

—Fajny chłop. Rozmawia z każdym, jak z człowiekiem i po ludzku mu patrzy z oczu. A przecież to prezydent.

* * *

Trzej brytyjscy sygnaliści /na każdym polskim okręcie jest po paru sygnalistów angielskich dla łatwiejszego porozumiewania się z Brytyjczykami/ otrzymali polskie Krzyże Walecznych z rąk Pana Prezydenta. Po dekoracji nawiązuje się rozmowa po angielsku.

—Za co dostaliście ten krzyż?

—*Well*, rzecz niewielka.

—Jakto "niewielka." Mało wam tego krzyża?

—Ależ pan nie zrozumiał . . . Jesteśmy dumni z polskiego odznaczenia. Ale nasz czyn nic wielkiego. Widzieliśmy innych, jak robili to samo.

—Co?

—Wyciągali bomby niewybuchłe z wody i rozbrajali.

—Kiedy to było?

—Podczas nalotu na Clydeside /ciężki nalot w pierwszych miesiącach 1941 roku, gdzie bomby leciały, jak grad/.

—Hm—mruknąłem—to rzeczywiście "nic wielkiego"—i mocno uścisnąłem rękę marynarza. Jak dowiedziałem się później, nie chodziło tu tylko o bomby niewybuchłe, ale o to, że "bomby zapalające zgarniali z pokładu garściami."

* * *

—Dobrze, swojsko się tu u was czuję—rzekł Prezydent na pokładzie trzeciego z kolei okrętu. Jestem na każdym z waszych okrętów, jak u siebie, jakbym był w domu.

Jeden z oficerów marynarki dodał półgłosem:

—Bo rzeczywiście jest Pan Prezydent, na jedynym, suwerennym skrawku tej Rzeczypospolitej, wolnym od wroga. Jest to przejściowe, ale w tym przejściowym czasie dobrze się czuć na pokładzie polskiego okrętu . . . na jedynym suwerennym skrawku Polski.

* * *

—Chciałbym wam życzyć wiele i z całego serca. Czego wam życzyć, chłopcy kochani? . . .

—Aby Pan, Panie Prezydencie, na pokładzie naszego okrętu dobił jak najprędzej do reszty wyzwolonego i wolnego terytorium polskiego, abyśmy razem byli już w wolnej i nierozdzielnej Polsce, przycumowani na długo.

BOHDAN PAWŁOWICZ

Przegląd polityczny

Po ostatniej mowie berlińskiej Hitlera oklaski i okrzyki "*Sieg Heil*" trwały przez cztery minuty. Historyczny ten fakt podawało radio niemieckie, zaznaczając, że był to "rekord owacji dla Wodza." Możliwe. W każdym razie trzeba było bardzo głośnych wrzasków, aby zagłuszyć wspomnienia innej mowy, wypowiedzianej równo rok temu, w początkach stycznia 1941.

—"Nadchodzący rok — mówił Hitler—przyniesie nam nie tylko zwycięstwo. Przyniesie triumf Niemiec, największy triumf na całej przestrzeni historii narodu. Będzie to rok decydujących sukcesów, rok ostatecznego pogromu naszych wrogów — wszystkich wrogów Trzeciej Rzeszy."

Tymczasem rok 1941 stał się okresem przełomowym w obecnej wojnie, ale w sensie wybitnie ujemnym dla Niemiec. W styczniu 1941 Niemcy tylko walczyły z Wielką Brytanią i jej dawnymi sojusznikami. Dzisiaj walczą jeszcze z największym państwem kontynentalnym, jakim jest Rosja i z największą potęgą zarówno kontynentalną jak i morską, którą przedstawiają Stany Zjednoczone.

Co więcej. W Rosji ponoszą wojska Hitlera klęski, pierwsze na kontynencie europejskim. Dnia 2 października 1941 zapowiadał Hitler "ostatnią ofensywę," ostatni "wielki wysiłek na Wschodzie." Rzeczywiście, był to ostatni, gigantyczny atak, *po którym nastąpił odwrót.*

"Wszystkie nasze operacje na wschodnim terenie odbywają się ściśle według planu" — mówił minister propagandy Goebbels, w czasie Świąt Bożego Narodzenia. Nieprawda. *Planem Hitlera było zajęcie Moskwy, Leningradu i Zagłębia Donieckiego przed grudniem* 1941. Planem Hitlera było dostanie się na Kaukaz i atakowanie Persji tudzież Iraku, po całkowitym zniszczeniu armii rosyjskiej. Planu tego dowództwo niemieckie przeprowadzić nie zdołało. I bynajmniej nie "dobrowolnie" rezygnowano z ataku na Leningrad, Moskwę i Kaukaz, ale cofano się, po kontrofensywie Tymoszenki pod Rostowem, oraz po uderzeniu rosyjskim pod Tułą i Kalininem.

Odwrót trwa w dalszym ciągu—i odbywa się wśród ciężkich walk. Żołnierz niemiecki, dobry w ofensywie, karny i zdyscyplinowany w okresie powodzeń—*jest bardzo nieszczególny w czasie przymusowego cofania się.* Historia wojen dostarcza pod tym względem całego mnóstwa przykładów, czasem bardzo nawet drastycznych.

—"Uderzymy na Rosję z wiosną—pisze prasa niemiecka—ofensywa ta zaprowadzi nas pod Ural i Kaukaz."

Niewiadomo. Do wiosny mamy jeszcze kilka bardzo ciężkich miesięcy, w czasie których Rosjanie będą mogli uzupełnić swe straty, zreorganizować, według nabytych w obecnej kampanii doświadczeń armię—i stawić opór wojskom Hitlera z poważnymi szansami powodzenia. W prasie niemieckiej pisze się wciąż o "całkowitym braku najelementarniejszych przedmiotów na obszarach od Morza Białego aż po Morze Czarne." Wiadomości te należy przyjmować z taką samą ostrożnością, jak te wszystkie opowiadania przedwojenne o najzupełniejszym rozkładzie społeczeństwa rosyjskiego. Nie było butów, nie było maszyn do pisania, nie było zapałek i papieru, *ale były czołgi, samoloty, armaty i olbrzymie zapasy amunicji.*

W czasie tak trudnym, jaki obecnie przeżywamy—jest rzeczą konieczną zdawanie sobie sprawy z faktycznego stanu rzeczy. Rosja okazała się potęgą militarną wysokiej klasy, żołnierz sowiecki bije się dobrze, propaganda—niesłychanie poważna broń w tej wojnie psychologicznej—działa bez zarzutu. *Społeczeństwo przygotowywano nie na zwycięstwa i łatwe powodzenia, ale na oddanie Moskwy i Leningradu, na ewentualną walkę w górach uralskich i na Kaukazie.* Dlatego też sukcesy na wszystkich odcinkach olbrzymiego frontu—zwycięstwa niezapowiadane — wzmocniły nastroje w Rosji o 100%.

Walki, które będą toczyły się na wiosnę 1942, będą tak samo ciężkie, jak w listopadzie, jak w grudniu 1941 a przebieg ich nie może być stanowczo przesądzany. Poza tym zima rosyjska może przynieść wojskom niemieckim szereg bardzo przykrych niespodzianek.

Generał Wavell zajął Benghazi w 50 dniu swojej ofensywy. Wojska angielskie, w czasie drugiej ofensywy, *doszły do tego miasta w przeciągu dni* 32. Kampania libijska jest dobitnym przykładem nowoczesnej strategii i taktyki. Jest również pocieszająca z innego powodu. Niemcy napadły na zupełnie do walki nieprzygotowaną Europę — jak napada gangster na słabo zabezpieczone kasy. Dzięki temu—i tylko dzięki temu—odniósł Hitler poważne sukcesy wojskowe. Europa organizowała swe życie społeczne, dzieliła się na "Fronty Ludowe" i "Fronty Narodowe" wówczas, kiedy Niemcy nie konsumowały masła, ale zato przeprowadzały kolosalne zbrojenia. Najlepszy żołnierz nie mógł zatrzymać własną piersią czołgu. Najbardziej nowoczesna broń—dywizje pancerne—w połączeniu z lotnictwem, zadecydowały o klęsce Polski i Francji. *Otóż: w Libii biją Anglicy i biją nasi Niemców i Włochów—ich własną bronią.* Ten sekret, polegający na właściwym użyciu samolotu i czołgu został już wydarty Trzeciej Rzeszy. Bitwę w powietrzu—przegrały Niemcy po raz pierwszy w sierpniu i wrześniu 1940 roku. Bitwę na lądzie przegrywa jednocześnie Mussolini i Hitler w Libii.

A nie wolno zapominać, że walki te toczą się w warunkach bardzo ciężkich dla W. Brytanii, gdyż nie tylko siły niemiecko-włoskie są znacznie większe, ale według stwierdzenia samego Mussoliniego, przygotowywano "teren libijski do wojny przez 10 ostatnich lat i przygotowano go dobrze." Tymczasem Egipt był bazą brytyjską zarówno niewygodną, jak i słabą. Armia mająca go bronić, była, jak wszystkie armie angielskie—improwizowana w ostatniej chwili i w samym momencie wielkiego niebezpieczeństwa. Mimo to zdaje świetnie jeden z najtrudniejszych egzaminów wojennych.

Sytuacja na Dalekim Wschodzie jest poważna. Że wojna z Japonią będzie ciężka, że będzie wymagała ogromnego wysiłku ze strony państw anglo-saskich—o tym wiedział każdy, kto jako tako orientował się w zagadnieniach Pacyfiku i rywalizacji między Japonią a Anglią i Stanami Zjednoczonymi. Z niepowodzeniami w pierwszym okresie walk liczył się zresztą Churchill i przygotowywał na nie własne społeczeństwo zaraz w pierwszej mowie po wybuchu wojny.

Zarzut "nieprzygotowania obrony przed desantem" na Wyspach Sundajskich lub na Malajach jest po prostu śmieszny. Linia frontu, który biegnie od Alaski aż do Tasmanii, poprzez wszystkie wyspy Polinezji jest gigantycznie wielka. Olbrzymia jest również linia bezpośrednich działań operacyjnych. Tak np. Borneo, jedna z wysp sundajskich—liczy 289.000 mil kwadratowych i jest dwukrotnie większa od Zjednoczonego Królestwa, to jest Wielkiej Brytanii wraz z Irlandią! Podobnie bardzo wydłużone i z tego powodu trudne do obrony linie ma Jawa i Filipiny. Nie wolno zapominać, że W. Brytania ma naprzeciwko siebie front niemiecki od Przylądka Północnego aż po Hendaye, granicę Hiszpanii i cały basen śródziemnomorski.

Obrona, w tych warunkach, czy półwyspu malajskiego, czy Indii Holenderskich, jest niezwykle ciężka. Japonia dysponuje potężną flotą i dobrym lotnictwem. Poza tym odgrywa tu poważną rolę pewien czynnik fanatyzmu: propaganda japońska wmówiła w społeczeństwo, *iż walka z państwami anglo-saskiemi jest to walka o wyrugowanie wpływów białej rasy z Azji i panowanie nie tylko nad Indiami i Polinezją, ale także nad Ameryką, przynajmniej południową.* Mimo wojny chińskiej i poważnego wyczerpania gospodarczego — Japonia jest państwem bardzo silnym i sojusznikiem kilkakrotnie cenniejszym od Włoch. Ale z powagi sytuacji zdają sobie sprawę w Stanach Zjednoczonych i wysiłek, który podejmie Ameryka, będzie niewątpliwie olbrzymi.

Trzeba się liczyć z dalszymi postępami wojsk japońskich. Położenie powinno ulec zmianie na lepsze z chwilą, kiedy Ameryka wprowadzi do akcji całą swoją flotę, to znaczy gdzieś koło połowy stycznia. Możliwe, że pierwsze klęski na morzu wpłyną hamująco na japoński zapał wojenny. Nie mniej jednak rola, jaką odgrywa w tej chwili Japonia—jest dla naszej sprawy wybitnie niekorzystna.

tk

Skrzynka pocztowa

Redakcja "Polska Walcząca."

Polskiemu żołnierzowi w Anglii—pozdrowienia — z obozu Armii Polskiej w Kanadzie. Cześć.

Wilczek E.

Box 363, Polish Army Barracks, Windsor, Ontario, Canada.

* * *

"Polska Walcząca" jest przyjmowana zawsze z dużym zaciekawieniem i prawdziwym uznaniem—muszę zaznaczyć, że jest to jedyne pismo polskie, które nie wprowadza swoich politycznych *chevaux de bataille* odpowiednio zabarwionych, a przede wszystkim jest utrzymane w naszym czystym i gramatycznym języku polskim. Dużo moich kolegów wysyła "Polskę Walczącą" do Rodaków w Ameryce Płn. i Poł./ja wysyłam również, ale do Afryki do Takoradi, gdzie jest mój drużynowy z Polski w eskadrze bombowców/. Wiem dobrze, że wysyłając "Polskę Walczącą" za ocean nie przyniesiemy naszej sprawie wewnętrznonarodowej żadnego uszczerbku . . . W każdym razie z wszystkich polskich pism wydawanych w Wielkiej Brytanii w naszej Brygadzie, I Brygadzie Spadochronowej, "Polska Walcząca" jest na pierwszym miejscu.

Szczerze oddany.

Witold Jewasiński

* * *

Uprzejmie proszę o powiadomienie mnie czy posiadają Panowie brakujące mi numery Ich wydawnictwa z bieżącego roku. Bardzo chętnie reflektuję również na numery z roku ubiegłego, choć wiem, że jest to prawie nieosiągalne. Proszę przyjąć gratulacje z powodu doskonałego prowadzenia pisma najbardziej popularnego wśród żołnierzy.

Maksymilian Niemczyk

* * *

Dnia 29. listopada odwiedziła 316 Warszawski dywizjon myśliwski dobrze znana, kilkakrotnie zapowiadana i przez wszystkich kochana "Lwowska Fala." Było to dla nas, siedzących od dłuższego czasu prawie że na pustkowiu uroczystością niezwykłą. Uroczystością poważną, która zakończyła się wesoło (jakże mogłoby być inaczej?), mimo, że niejeden z nas miał czasami łzy smutku i tęsknoty w oczach.

Lwowska Fala, która w kraju miała przydomek "Wesoła" i tu na obczyźnie nie zatraciła swej wesołości, owszem wszyscy się szczerze i serdecznie śmiali, ale były chwile (melo-deklamacje pani Grelichowskiej), w których myśli nasze wracały do kraju i jeszcze raz przeżywaliśmy tragedie Warszawy, Westerplatte, Kutna i Lwowa, lub patrząc na to "Wesele Ludowe" teraz dopiero ocenialiśmy jakie to wszystko piękne, swojskie i rzewne, ile w tym barw i melodii. Teraz dopiero na obczyźnie.

O autorach i wykonawcach programu trudno inaczej jak w superlatywach się wyrażać. Dał nam ten zespół kilka miłych, rzewnych i zarazem wesołych chwil, oderwał nasze myśli od codzienności, przesunął przed oczyma kilka miraży Kraju kochanego i za to Im z całego serca dziękując, prosimy gorąco:

Odwiedzajcie nas, Kochani, częściej, zalewajcie falą wesołości a wywdzięczymy się Wam sercem a może też i materialnie, ponieważ jeden z naszych towarzyszy broni ma brata, który jest gońcem w kancelarii M.S.W. (wydział kult. oświatowy) i brat ten na prośbę obiecał mu, że postara się o awans dla kilku zdolniejszych st. strzelców z waszego zespołu, na tytularnych kaprali.

Pamiętajcie więc nie zmarnować tej okazji, która może zaważyć w dalszej Waszej karierze wojskowej.

Dziękując z góry za umieszczenie tego listu, przesyłam życzenia pomyślnego rozwoju tygodnika, który chętnie czytamy, ponieważ jest naprawdę na wysokim poziomie wartości, oraz życzenia osobiste.

S. Machalski

SPIS RZECZY.

WYDAJE BIURO PROPAGANDY I OŚWIATY.
Adres Redakcji (Editorial Offices): 5, Portugal St., W.C.2. Tel., HOLborn 7600. I-e piętro.
Redaktor przyjmuje w soboty od godziny 11-ej—13-ej.

Warunki prenumeraty: Miesięcznie z przesyłką pocztową—sh.1. Kwartalnie z przesyłką pocztową—sh.3. Należność prosimy wpłacać przekazem pocztowym (Postal Order) pod adresem Administracji.

Ceny ogłoszeń: 1 cal przez jeden łam—sh.15 0d. bez względu na stronę, drobne ogłoszenia—sh.6 0d. za 1 cal. Ogłoszenia o poszukiwaniu pracy i osób 50% taniej.

Adres Administracji (Business Offices): 63, Lincoln's Inn Fields, W.C.2. Tel., Chancery 5505 i 5506. Adres Agenta dla ogłoszeń angielskich (Advertisement Offices), The Carlton Berry Co., 136, Grand Buildings, Trafalgar Square, W.C.2. Tel.: ABBEY 5108.

Printed for the "Polska Walcząca," by St. Clements Press (1940), Ltd., Portugal St., Strand, W.C.2.